

BIBLIOTEKA LWOWSKA

VIII.

ADAM KRAJEWSKI

LWOWSKIE
PRZEDMIĘCIA



SP.QL

LWÓW 1909

Cena 2 K

Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa

mające na celu poznawanie dziejowej przeszłości Lwowa, budzenie poszanowania dla jego pamiątek i zabytków, oraz ratowanie od zatury i gromadzenie ich w zbiorach miejskich — będzie do tego celu zmierzało, między innymi, przez wydawnictwo naukowych i popularnych publikacji z dziejów naszego grodu:

W myśl § 6. statutu każdy członek Towarzystwa otrzymuje **bezpłatnie** powyższe wydawnictwa.

Wkładka roczna 8 K. Każdy wpisujący się do Towarzystwa płaci więc niejako tylko prenumeratę wydawnictw. Im więcej członków przystąpi, tem bogatsze mogą być wydawnictwa.

Kto na cele Towarzystwa złoży jednorazowo datek przynajmniej 100 koron, jest **członkiem założycielem**.

Upraszamy przeto wszystkich, miłujących przeszłość stolicy kraju i jej zabytki — o przystępowanie do Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa.

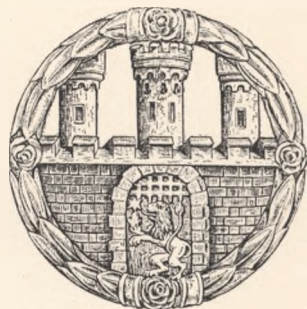
Oprócz „Biblioteki lwowskiej“ w formie niniejszego tomiku wydawać będziemy ilustrowany „Rocznik“, w którym znajdą pomieszczenie prace historyczne, dotyczące przeszłości Lwowa.

(Adres: Archiwum miejskie, Lwów, Ratusz).



LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA

BIBLIOTEKA LWOWSKA



✚ WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA ✚
MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA

VIII.

LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ✚ ✚ ✚ ✚
GUBRYNOWICZA I SYNA WE LWOWIE ✚ ✚

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 143 /2011/ 004

ADAM KRAJEWSKI



LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA

OBRAZKI I SZKICE Z PRZED PÓŁ WIEKU

Z 16 RYCINAMI W TEKŚCIE



WE LWOWIE 1909 ❀❀ NAKŁADEM TOWARZYSTWA
MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA ❀❀❀❀❀❀



CM- 314416



Z Drukarni Ludowej
we Lwowie

arść niniejszych szkiców z przedmieść lwowskich, jakimi one były przed niemal pół wiekiem, wziętych bądźto z własnych obserwacji z lat dziecięcych, bądź zasłyszanych w opowiadaniach ludzi starszych na przedmieściach, pomieszczona była różnymi czasami w ciągu lat w „Dzienniku Polskim“, „Świcie“ warszawskim i w innych pismach. Do zebrania ich w jedną całość i wydania zbiorowego zachęcił autora tych szkiców, niżej podpisanego, zacny kolega po piórze, zasłużony archiwaryusz miasta Lwowa p. Franciszek Jaworski, a tej zachęcie ze swej strony dodał bodźca i Szanowny gromadzielić pamiątek dawnego Lwowa, dyrektor miejskiego archiwum, dr. Aleksander Cz o ł o w s k i.

Praca to o tyle wdzięczna, że poświęcona rodzinnemu miastu i jego pocziwym przedmieszczanom, dzielącym dołę i niedołę swej macierzy, przedmieszczanom, których życia przeciętny obywatel Lwowa bliżej nie zna, a już stanowczo ledwie że o nich słyszał i zajmował się nimi przed pół wiekiem, kiedy komunikacja z przedmieściami była i trudna i niewygodna i — powiedzmy szczerze — nie zawsze bezpieczna. Wzrost tej komunikacji, a tem samem parcie miasta ku rozwojowi w kierunku przedmieść, powoduje ich zanik; garść ta więc szkiców będzie skromną pamiątką po tych, niedługo już zaginionych nie tylko domach, ale i ludziach, zasymilowanych przez życie wielkomiejskie.

Dzięki niezwykłej uczynności, a także i ogromnemu zamiłowaniu do rzeczy ojczystych urzędnika miejskiego archiwum p. Franciszka K o w a l i s z y n a, udało się autorowi zillustrować niniejsze szkice podobiznami ostatnich zabytków przedmieść, których niebawem nie stanie, bo zajmą ich miejsce okazałe domy stołeczne.

Pierwotne szkice uzupełniłem i rozszerzyłem nowymi szczegółami i obrazkami, do których cennego materiału dostarczyły mi takie żywe kroniki przedmieścia, a głównie jego rdzenia: Łyczakowa, jak p. Adolf Podłowski długoletni radny miasta i jego syn Józef, oraz pan Jan Dobrowolski, z dziada pradziada obywatel Łyczakowa. Wzmianka na tem miejscu niech będzie im szczerą podzięką odemnie. Dla mnie będzie dostateczną nagrodą, jeśli ta skromna praca będzie jedną więcej cząsteczką do dziejów ojczystego miasta, dla którego każdy, kto może, powinien ze swej strony choć drobną dołożyć cegiełkę.

We Lwowie, w grudniu 1909.

Adam Krajewski.

I.

Przedmieścia lwowskie w ogólności.

Przedmieścia lwowskie, to świat był do niedawna jeszcze odrębny, tak, jak odrębnym typem był lwowski przedmieszczanin, zasadniczo różny od przeciętnego Lwowianina, nie wiele z nim w obyczajach mający wspólnego; zasadniczo także różny od chłopą, zamieszkującego wioski, tuż do przedmieść przytykające. Tylko, że gdy mieszkaniec Lwowa, ten z klasy najniższej, pod względem obyczajowym i majątkowym zasymilował się w ciągu lat dziesiątek ze społecznością miejską; tylko, że gdy chłop podmiejski przez bezpośrednie stykanie się z miastem, przesiąka niem czemraz więcej i wytwarza półchłopski proletaryat — przedmieszczanin typowy, który jest celem niniejszego szkicu, zanika powoli i w niewielu może dziesiątkach lat będzie okazem szczątkowym. Dziś już, głębszy badacz tego społecznego odłamu, może tej klasie ludzi dać całkiem właściwe miano: *morituri*.

Tak jest. Przedmieszczanie lwowcy „zanikają“ w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Rozszerzające się z każdym rokiem miasto nie wypiera ich dalej poza granice pierwotne, nie pochłania ich także tak, jakby się zdawało. A gdy się popatrzymy na eleganckie dziś dzielnice, stawiane na dawnej dziedzinie przedmieszczan; gdy spojrzymy na okazałe kamienice, wille i pałacyki, stojące na miejscu dawnych zapadłych domków parterowych z ogrodami i sadami, pytamy siebie mimowoli: co się stało z mieszkańcami tych domostw zapadłych, gdzie się przenieśli siedziby tych ludzi? — Boć w tym samym stosunku, jak się wielkie

miasto ku rogatkom, niby wieloramienny polip wyciąga, nie zabudowują się przestrzenie pozarogatkowe, które, naturalnym rzeczy rozwojem, powinny były już osiągnąć wiosek podmiejskich.

Stawmy sobie przed oczy obraz Lwowa z przed lat mniej więcej 40 t. j. przed erą autonomiczną bezpośrednio, bo od niej poczyną się nowa epoka rozwoju Lwowa. Zaczynając od Żółkiewskiego, pójdziemy wokół miasta, kreśląc linię, gdzie się ściśle przedmiejskie poczynąło życie.

Na Żółkiewskim tedy zaczynało się ono od ulicy św. Marcina, i poza górę Zamkową sięgając, wnikało w miasto do połowy ulicy Teatyńskiej i Wojciecha, obejmując zarazem górną część Zniesienia.

Na Łyczakowie początek swój brało od kościoła św. Antoniego. Dzisiejsze podcmentarze z ulicą św. Piotra, Pijarów i Cetnerówką, było to jądro przedmieścia. W dalszym ciągu szedł pas przedmiejski w ulicę na Rurach (dziś Kochanowskiego) aż po Pasieki Halickie; ulicą Zieloną od dzisiejszej Wagilewicza; Stryjską (dziś Zyblikiewicza) od ulicy św. Marka; całą okolicą Cytadeli — i dotykał do Wólki, a za nią obejmował Bajki aż po Gródecki cmentarz. Gródeckie mniej więcej od dzisiejszej ulicy Józefata; Janowskie w jego całej rozciągłości, Kleparowskie do rogatki, a na koniec Zamarstynowskie po rogatkę, to były już szczere przedmieścia. Jak oazy na pustyni, stały i tu gdzieniegdzie kamienice i gmachy fabryczne lub młyny i browary, nie psuły one jednak niczem charakteru przedmieść i ich wyglądu. Obce też były i mieszkańcom przedmieść te oazy i tolerowane przez nich, jak i ich właściciele — intruzy.

Idąc tym samym, co wyżej porządkiem, spostrzegamy, że z dzielnicy Żółkiewskiej dawniejszych przedmieszczan wyparł żywioł żydowski, który się tam rozsiadł najwięcej i czemraz więcej rozsiada się z każdym rokiem. Resztki przedmieszczan tulą się jeszcze w tyle, ku błoniom Zamarstynowskim i na Zniesieniu. Z ulicy Teatyńskiej zniknęli zupełnie. Na Łyczakowie granica przedmieścia przesunęła się do ulicy Ubocz, a z drugiej strony od górnej Pijarów. Na Rurach pozostała im zaledwie część górna Pohulanki. Zielona ulica, do niedawna jeszcze dzielnicą zupełnie martwa,

tuli w górnej swej części ludność przedmiejską w nędznych ruderach, będących niby mamutami z tych czasów, gdy ulica ta była głównym traktem do Kołomyi i dalej, na południowy Wschód. W dzielnicy ku Stryjskiemu trzymają się jeszcze na Snopkowie i Żelaznej Wodzie i trochę na Zofiówce. Na Stryjskiem zaledwie resztki. Na Bajkach i Wólce posunięci w kąty, aż ku błoniom Kulparkowa. Charakter Gródeckiego zmienił się doszczętnie, toż samo w znacznej części Janowskiego, a Kleparów i Zamarstynów z uczciwych przedmieść zmieniły się przeważnie w kolonie złodziejskie — poby-towców. Właściwi przedmieszczanie zwyrodnieli i — znikli z powierzchni, albo gdzieniegdzie się jeszcze rzadko mieszczą.

Znikanie to dawnych przedmieszczan Lwowa z wi-downi, mniejsza o to, czy się oni asymilują z żywiołami czysto miejskimi, czy wymierają, czy wreszcie wyjeżdżają do innych miast kraju; fakt ten, nie dający się, jako zbyt widoczny, zaprzeczyć, wart jest, aby mu poświęcić kart kilka w szkicu historycznym i obyczajowym. Jeżeli bowiem ma swą obszerną historię stan szlachecki, jeżeli ma ją i mieszczański, tem samem nie wolno przejść do porządku dziennego nad stanem, od wieków osiadłym u bram i murów Lwiego grodu, stanem rdzennie polskim albo ruskim, a właściwie, niestety, zruszczałym z dawnych osadników polskich.

Jeżeli mówię o stanie przedmiejskim zruszczałym, to zaznaczam, że lwowscy przedmieszczanie przed dwoma wiekami byli w znacznej części osadnikami, albo na miejskich łąkach, albo na jurydykach szlacheckich, sprowadzonymi „na wolę“ w miejsce albo zagarniętych przez zagony tatarskie chłopów ruskich, albo też w miejsce takichże samych ruskich chłopów, którzy z osad zbiegli w inne strony, szukając lepszego szczęścia. Byli to więc poprostu wolni chłopci, z Mazurów przeważnie, albo też, jak n. p. na Zniesieniu, osiedleni, udarowani wolnością jeńcy tatarscy, którzy dość szybko złączyli się z tutejszą ludnością, a grecki przyjęli obrządek. Mazurski typ zachował się przeważnie dotąd na górnym Łyczakowie, Cetnerówce, na Mazurówce i Pasiekach, a także na przedmieściu Janowskiem. Rezolucność, gorąca krew mazurska, zmysł do handlu i prze-

myślu, są to jeszcze dziś wybitne cechy, acz skrzyżowanego już mocno pokolenia. Zachowały się one też w pieśni, jak w typowym tak zw. „łyczakowskim krakowiaku“, wspólnym wszystkim przedmieściom, gdzie narodowe ruskie motywy nie zdołały sobie jeszcze zdobyć obywatelstwa. To samo da się powiedzieć o obrzędach rodzinnych, o zwyczajach odwiecznych, uroczystościach, a nawet — i to w znacznej mierze — o stroju, oczywiście przystosowanym już do wymagań życia miejskiego.

Po zmianach politycznych w Galicyi, a temśsamem we Lwowie, zniknęły jurydyki szlacheckie; mury warowni miejskich runęły pod kilofem reformatorów, a rozwojowi miasta otworzył się szeroki horyzont. Na miejscu dawnych jurydyk i posesyi patrycyuszów lwowskich, zjawiły się przedmieścia; na miejsce dawnych osadników, na Wolach i Wólkach, przyszedł przedmieszczanie, którzy wykupili grunty, na których siedzieli prawem osadnictwa.

Stosunek przedmieść do miasta musiał po usunięciu murów inne przybrać formy i teraz zaczęło się naprawdę życie tych przedmieść i przedmieszczan Lwowa.

Przechodząc do szczegółów o lwowskich przedmieściach, należałoby trzymać się porządku chronologicznego, mianowicie zaczynać je po starszeństwie. Pod tym względem jednak wypada zmienić porządek; jakkolwiek bowiem bezsprzecznie starsze może być przedmieście Krakowskie, jako najbliższe starożytnego podgrodzia księcia, musi ono pod wielu względami ustąpić tego pierwszeństwa Łyczakowu. Osadnictwo bowiem na pierwszym nie miało nigdy i do dziś nie ma cechy wybitnie polskiej, a po drugie i Łyczaków, jako rdzeń dawnego przedmieścia Halickiego, dał typ innym lwowskim przedmieściom. Powstanie swe datuje zresztą także od czasów Kazimierzowskich, a w dokumencie przysądżającym przedmieszczanom łyczakowski kompleks gruntów na Pasiekach, są powołane przywileje Jagiellonów.

II.

Łyczaków wogóle.

„Tam na Łyczakowie
Rośnie biała brzoza,
Łyczakowski chłopiec
Urwał się z powroza“.

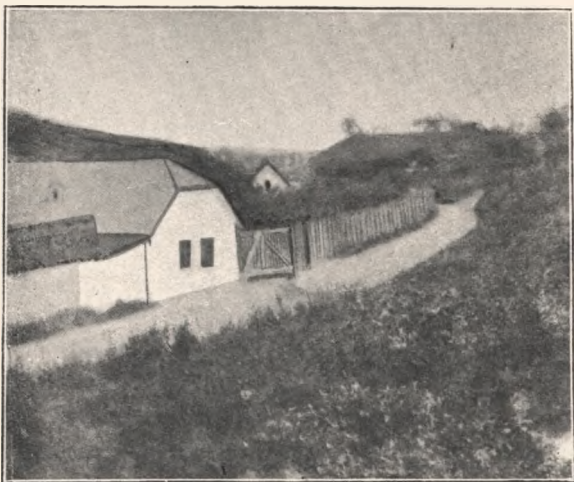
Temi dosadnymi słowy charakteryzuje jeden z niezliczonych wariantów t. zw. łyczakowskiego krakowiaka najmłodsze latorośle łyczakowskich przedmieszczan. Oczywiście nie można tego odnosić do ogółu mieszkańców Łyczakowa, którzy, wyszedłszy z lat pacholących, dzielnymi stają się obywatelami, stwierdzając słowa poety, że: „co ma żyć w pieśni, zginąć powinno w rzeczywistości“.

Łyczaków! jeżeli o nim mówię, nie mam na myśli nazwanej tem mianem ogromnej dzielnicy IV. Lwowa, liczącej 40.000 mieszkańców. Chcę mówić o tym popularnym szeroko „Łyczakowie“, dawniej rozległym, dziś falą wielkomiejskiej kultury zamkniętym w prostokącie, zaczynającym się od ulicy św. Piotra, a kończącym się o pół kilometra za rogatką „Na Jałowcu“. Tam bowiem gnieźdzą się ostatni Mohikanowie Łyczakowa, przed laty jeszcze 40 niepodzielnie panujący na całym przedmieściu, dziś zasymlowani przez żywioł miejski, lub poza obręb przedmieścia wyparci, gdzie przeważnie utracili pierwotny swój charakter odrębny.

Rodowity Łyczakowianin ma swój wybitnie lokalny patryotyzm i uważa się za coś nieskończenie wyższego od przeciętnego mieszkańca Lwowa, którego, że tak powiem:

toleruje. *In illo tempore*, kiedy to jeszcze tramwaj elektryczny nie zawiózł cywilizacji na górny Łyczaków, miejski „kaban“, zapuściwszy się samopas „na piaski“, nie był pewien, czy wróci bez guza na czole, lub podbitego oka. I spotykało to miejskich paniczów dość często, a to dlatego, że się łyczakowskiemu wyrostkowi nie podobała czyjaś facyata. Bywało to niejako, protestem przeciw wdzieraniu się „miasta“ na terytorium Łyczakowa.

Ostatni protest przeciw cywilizacji wygłosiła przed laty 16 obywatelka Łyczakowa górnego p. S., robiąc tram-



Ryc. 1. Ostatnie domy w ulicy Krzywczyskiej.
(Koniec miasta.)

wajowi elektrycznemu, gdy się po raz pierwszy tam ukazał, niemożliwą fizycznie do wykonania propozycję z odpowiednimi gestami.

Typ Łyczakowianina rodowitego z dziada i pradziada, to typ wybitnie mazurski i choć wiekowe pożycie wśród Rusinów odmieniło go nieco, przecież nie zdołało go wynarodowić. Strój oczywiście skomplikował się, ale charakterystyczna czapka z „sadełkiem“, rodzaj maciejówki, została i stanowi ozdobę głowy Łyczakowianina, tak samo, jak owiązanie głowy gładkie u starych kobiet pozostało. Są to oczywiście okazy szczątkowe, bo też i nie wiele tych

rodowitych Łyczakowian pozostało. „Arystokracja“ starego Łyczakowa albo śpi od dawna na mogiłkach, albo w dzisiejszem pokoleniu straciła swe cechy. Niewielu tych „arystokratów“ i niemal na palcach policzyć ich można!

A więc k r u p i a r z e: Tabakiewiczze, Dobrzańscy, Kijaki, Rewińscy, Marciniaki, Dobrowolscy, Osinscy, Kobylaki, Landmany, Legezińscy, Porady, Kozaczewscy, Goreccy, Godysze, Juszczeni, Barańscy; z r z e ż n i k ó w: Laskowscy, Razińscy, Niewiadomscy; na koniec g a r b a r z e (śląd po nich nie pozostał) Matusiewiczze. *Nec locus, ubi Troia...*

Łyczakowianie, jak na potomków Mazurów przystało, są bardzo pobożni, czego ślady w fundacyach kościoła parafialnego św. Antoniego i cerkwi św. Piotra, dla garstki Rusinów z dawnego kościoła Paulinów przemienionej na rozkaz cesarza Józefa II. Pobożność ta jednak nie przeszkadzała im silnie wierzyć w gusta i czary; wogóle wyznają zasadę, że dobrze żyć w zgodzie z Panem Bogiem, ale i dyabłu należy oddać, co mu się należy — prawem kaduka. Na zabobonność tę złożyło się wiele danych, a w pierwszym rzędzie otoczenie osady. Z jednej strony puste wzgórza „Kaiserwaldu“, ulubione miejsce samobójców - wisielców, z drugiej wydmy piaszczyste, t. zw. Łyczakowskiej góry z dyabelskim niegdyś młynem na szczycie (dziś park). Do tego wszystkiego cmentarz — to chyba dość, aby człowieka „transcendentalnie“ usposobić!...

Niewielu Lwowianom tkwi już w pamięci ta rudera, zwana „młynem dyabelskim“ od lat najdawniejszych swego istnienia. Jakiś niefortunny przemysłowiec, korzystając z wiatrów, wiejących silnie na Łyczakowskiej górze, zbudował tam z cegieł i kamienia wiatrak. Młyn ten funkcjonował dość krótko. Postawiony na wzgórzu, w miejscu, gdzie się wiatry przeciwne krzyżowały, nie był w stanie istnieć.

Skrzydła łamały się ustawicznie, robota ciągle ustawała, aż właściciel w końcu zbankrutował i nie zatroszczył się nawet o rozebranie budynku.

Opustoszała rudera, a lud urobił sobie z latami podanie, że dyabeł obrał sobie w tem miejscu siedlisko i dlatego mleć nie pozwolił.

Kto mógł, stronił tedy, zwłaszcza nocą opóźniony przechodzić, od dyabelskiego młyna, przez którego otwarte okna i wrota (te powyjmowano) wiatr hulał i jęczał jak potępieniec i jeszcze straszniejszą czynił rudereę.

Strach przed dyabłem wyzyskiwali wybornie dla swych celów rzezimieszki i awanturnicy, i przez długie lata służył im młyn ten za bezpieczne przed pogonią schronienie.

Na tle stosunków łyczakowskich i młyna dyabelskiego napisał przed czterdziestu laty p. Welichowski wcale udatną powiastkę ludową.

Niema już dziś „młyna dyabelskiego“, znikają czemraz więcej i przywiązane do niego legendy i podania łyczakowskie, a zamiast szumiących skrzydeł wiatraka, rozbrzmiewa w pogodne dni gwarnie rozmowa spacerujących po parku łyczakowskim gości z miasta.

Mimo cmentarnego sąsiedztwa, wieczorami na ulicach Łyczakowa górnego, zwłaszcza na Mazurówce i Cetnerówce, tuż do cmentarza przytykających, rozbrzmiewają chrapliwosmętne tony harmonijek ręcznych, nieodłącznego instrumentu Łyczakowianina-młodzieńca. Harmonijka ta, to jedyna przyjemność po usilnej, a bardzo różnorodnej pracy obywatela Łyczakowskiego przedmieścia. Powiadam: różnorodnej, bo rodowity Łyczakowianin, jako potomek Mazurów, jest „do wszystkiego probant“ i każdy z nich zrobić potrafi to, co mu potrzeba — stosownie do pory roku.

I tak: rzeźnikiem jest w zimie, o ile nie jest krupiarzem, co jest zajęciem już stałem; w lecie idzie na „mularkę“, albo jako podmajstrzy, albo jako czeladnik. Ci ostatni, o ile znowu nie mają roboty w rzeźnictwie, pracują sezonowo. A więc: na parę tygodni przed Bożem Narodzeniem „budują“ szopki, które następnie na Rynku i placach sprzedają. Ulubionem jeszcze zajęciem jest hodowla gołębi, uprawiana nie tylko jako sport, ale i na handel. Do ubocznych przemysłów należy znowu handel ptaszkami śpiewającymi, które łowią w siatki i samotrzaski. Policja pilnie przestrzega, by ptaków śpiewających nie sprzedawano, ale gdy nigdy nie brak amatorów do kupna, więc i sprzedający się znajdują i są sposoby ominięcia zakazu. Wyrostek łyczakowski, ptasznik, nosi dla omylenia policyi towar swój — w kieszeni.

Idzie na plac Strzelecki, gdzie jest targowica ptasia. Ptasznik odgadnie po minie, czy chcesz co kupić, czy tylko przygodnie tam się znalazłeś. Zbliża się do ciebie i pyta: „Może pan dzwonce kupi?” Patrzysz, gdzie ten dzwonec — a oto z kieszeni spodni lub kurtki pokazuje ci sprzedający główkę ptaka. Nie chcesz dzwonce — on sięga ręką do drugiej kieszeni i zachęca: „Ładny cziżik“. Masz tedy do wyboru, bo nieraz w każdej kieszeni, ile ich chłopak ma, jeden ptak siedzi. I takim niedozwolonym handlem, gdy niema innego zajęcia, nieraz zimę całą przeżyć trzeba.... bo bieda na przedmieściu, to rzecz nie nowa i znana. Dawne dobre czasy przeminęły i dobrobyt ulotnił się wraz z dawnym pokoleniem. Jakoż za czasów analfabetyzmu lepiej się działo na Łyczakowie, i może dlatego młodź przedmiejska z musu tylko do szkoły chodzi, a nauczyciele od św. Antoniego i Zimorowicza krzyż pański mają z „latoroślami“ na wstępie wymienionemi.

Ojcowie, ci *minorum gentium*, czyli z plebsu Łyczakowskiego, woleliby dzieci swych użyć do rozwożenia piasku po mieście, niż posyłać do szkoły. Swoją drogą, szkoła ta, choć wypoleruje trochę mózgi i obyczaje, nie oduczy Łyczakowian chyba do końca świata właściwego im akcentu, słynnego na całą Polskę.

Osada czysto piaskarska, to od niepamiętnych czasów „Mazurówka“. Rozsiadła się ona jako dalsze przedłużenie dzisiejszej ulicy Pijarów, tuż pod parkanem cmentarza od strony wschodniej, zamknięta z jednej strony Cetnerówką, z drugiej Pohulanką. Nieliczni dziś obywatele tamtejsi, eksploatują piasek z pobliskiej góry piaskowej, a niema dziś chyba, jak i przed półwiekiem nie było człowiecka we Lwowie, którego by z drzemki poobiednej nie zbudził gromki charakterystyczny pisk chłopca piaskarskiego, wykrzykującego swoje „piaask trze!“

Piaskarz z Mazurówki nie pojmuje zabawy bez śpievek, a tem mniej bez „harmonii“.

Instrument ten jest celem marzeń chłopaka piaskarskiego, i jeżeli zdoła tylko z uszczerbkiem własnego żołądka uciuć kilka guldenów, z pewnością kupi sobie harmonijkę, choćby — butów nie miał dobrych na nogach. Lud to bardzo zawadyacki. Przechodzącego surdutowca, nawet z kobietą,

zaczepi bez najnniejszego powodu; na każde zawołanie gotów do rozprawy, aby tylko kogoś obić. A już biada bladolicemu młodzieńcowi z miasta, jeżeli na Mazurówkę zechce skierować swe kroki za przedmiejską dziewoją, powracającą z roboty. „Białe kaftany“ biją niemiłosiernie za amory na swoim terytoryum podementarnem.

Bez wątpienia bójki i grubo zakorzenione między „narodem“ pijaństwo są wypływem braku cywilizacji, której światło na Mazurówkę prawie że nie dotarło, a przymus szkolny znany jest tam tylko z wezwań, roznoszonych przez miejskich pachotków; a i ci spełniają swą misję bardzo grzecznie, nie mając ochoty spotkać się z „prętem“ piaskarza, mającym najczęściej kształt i objętość koła z płotu. Dość spojrzeć na kilkoletnich chłopców, noszących piasek po kamienicach, aby się przekonać, że to nie przesada. Dziś już, co prawda, stosunki zmieniły się na lepsze, dzięki gęściejszemu zaludnieniu przedmieścia Łyczakowskiego i poblizkości plantacji i boiska sokolego, ale inaczej tam bywało, gdy przed laty dominował jeszcze nad Mazurówką „młyn dyabelski“, jak to wyżej wspomniano.

Animusz wojenny, w miarę jak bieda zagląda na przedmieścia, ostyga zresztą. Niedawno doleciały mnie smętne jakieś tony harmonijki, jako akompaniament nowej zwrotki „łyczakowskiego“ krakowiaka:

Nie smuć się, Kasieńko,
Chociaż z tobą bieda,
Kupię ci spodnicę,
Sprzedasz ją u żyda...

Smutne te słowa budzą refleksye. Dawne sadyby Łyczakowian rok za rokiem przechodzą w ręce starozakonnych. Na miejscu domków i ogrodów przedmiejskich wyrastają czynszowe, spekulacyjne kamienice, przerzynają się nowe ulice; i przyjdzie czas, gdy z dawnego Łyczakowa pozostanie, jako pamiątka po nim, cmentarz, mianem przedmieścia nazwany i zapadłe mogiły dawnych patryarchów łyczakowskich, na których nie będzie komu może spróchniałego krzyża odnowić i lampki zapalić w dzień Zaduszny.

III.

Górny Łyczaków przed pół wiekiem.

Zrazu nieśmiało, a następnie i głośniej i śmielej, rozlega się z wyżyny łyczakowskiej gwizd lokomotywy, oznajmiając reszcie przedmieszczan, że dawne dobre czasy już niepowrotnie przeminęły i że koło wszechwładnego postępu swem skrzydełkiem musnęło ostatnie *tusculum* „narodu“ przedmiejskiego, który w „Łyczakowianach“ miał swój typ i wzór, na których kształtowali się ludzie innych przedmieść, okalających niby wieńcem stary gród Lwa. Wzorowali się — powiadam — inni przedmieszczanie, ale ani do swego modelu pierwotnego nigdy nie dorosli, ani tem mniej go prześcignęli. Albo bowiem złali się zupełnie z żywiołem miejskim, albo zdeprawowali — jak Zniesienie i Zamarstynów, a nawet Kleparów — natrafiwszy tam na żywioł destrukcyjny. Łyczaków, górny mianowicie, zachował nawet do dziś jeszcze pewne cechy odrębne; innym zaś cale był przed pół wiekiem i temu to Łyczakowu, który niebawem zginie z powierzchni ziemi, tych parę wspomnień niniejszem poświęcam.

Łyczaków górny był od cerkwi św. Piotra i Pawła aż po rogatkę, jakby na poły wsią, wśród której dominowały dwa zajazdy, jako że przy głównym to było trakcie Gliniańskim: gospoda Otawichy i Hotel de Laus, mający zupełnie inny od dzisiejszej szynkowni ogródkowej charakter. Domki parterowe, wyłącznie z obszernymi podwórzami i ogrodami, oprócz paru rzeźników, zamieszkiwali niemal wyłącznie krupiarze, a liczono ich do czterdziestu rodzin i to ze sobą bądź spokrewnionych, bądź spowinowaconych, a już co najmniej pokumanych.

O zapobiegliwości i pracowitości tych krupiarzy nie ma dzisiejsze pokolenie pojęcia. Praca tam w tych domkach trwała dniem i nocą bez przerwy niemal, a przedmiejscy pocziwcy byli przeważnie tego zdania, że dość się jeszcze



Ryc. 2. Jaśkiewiczowa przedmieszczanka.
(Portret olejny w Muzeum narod. im. króla Jana III.)

wyśpią wieczność całą na „łyczakowskich piaskach“ pod Mazurówką (takim mianem nazywano cmentarz Łyczakowski).

Porządek dzienny górnego Łyczakowianina bywał jednostajny, jak jednostajnem było szare życie tych ludzi. W dnie powszednie zaraz po północy wybierali się krupiarze za rogatkę Łyczakowską dla zakupna hreczki, którą z Winnik, Czyżek, Mikołaszowa, Dawidowa, Prus, Jaryczowa, a nawet z dalszych okolic dowozili włościanie. Stanowisko, rodzaj giełdy hreczanej, mieściło się przy karczmach Weissmana i Berysza Jukla. To też, skoro ukończono transakcye handlowe, zapijano na miejscu „mohorycz“, poczem chłopci odjeżdżali sobie do domu, a krupiarze gdzieś około 7-mej rano stawali u swoich larów i penatów, skąd gospodynię, zamaszystą kobiecinę, wyprawiali do miasta na targ z towarem, dnia poprzedniego przygotowanym: musiało być tego dosyć, aby można tym produktem zaopatrzyć Lwów cały, nie znano bowiem jeszcze parowych młynów, ni młynów amerykańskich. Rojno było więc przy straganach na placach Halickim, Krakowskim i w Rynku, i ledwie że był czas na wpadnięcie na „śniadanie“ „pod dzwona“ lub „kanarki“, albo „wiewiórkę“ dla pokrzepienia zmęczonego targiem gardziołka. Odetchnąć można było ledwie o trzy kwadranse na drugą, gdy dzwonek z ratusza wczwał do uprzątaniania straganów. Wtedy, uraczone paru szklankami piwa, jechały krupiarzki na swoich wózkach do domu na obiad, aby po nim zabrać się do czyszczenia tego towaru na dzień następny, który pan majster przy pomocy czeladzi w kieratowym młynie lub ręcznym młynku oraz żarnie z grubsza przysposobił. Tak schodził czas do wieczora, i wtedy dawano sobie nieco folgi przed spaniem, by po północy znowu zabrać się do roboty na dzień następny. Oczywiście, że w tym pracowitym ruchu nie zapominano i o Bogu, że czczono go i ścisłym postem przedwielkanocnym, w którym to czasie nawet omasty, smalcu lub masła nie używano, lecz jedynie oleju konopnego, który bili z siemienia dwaj krupiarze: Wojnarowicz i Kozaczewski.

Dawano jednak sobie ducha w święta Wielkanocy i Bożego narodzenia. Wspomniałem na wstępie, że górni Łyczakowianie stanowili niejako jedną wielką rodzinę; nie rozumiano tedy zabawy, w którejby nie brali udziału, nie już blizcy, ale nawet dalsi sąsiedzi. Taki poczęstunek, rozpoczęty rano po powrocie z kościoła lub cerkwi, trwał spo-

sobem procesyonalnym od domu do domu nieraz dobę całą i pochłaniał niezmierną masę kiełbas, kiszek, pieczeni i kapusty, oraz beczki całe piwa i jeziora wódki (tanich w owe czasy napitków).

Niezależnie od takich uroczystości, bawiono się na weselach, chrzcinach i t. p. rodzinnych okazjach. Młodzież żeńską przeważnie sąsiad ze sąsiadem, choć i na inne przedmieścia oddawano córki w zamęcie, albo swatano synów — jako rozsądniki kultu Łyczakowskiego. Ponieważ były to czasy ciężkie dla popisowej młodzieży, więc głównie, kogo na



Ryc. 3. „Hotel de Laus“ — dawne kasyno Łyczakowa.

to stać było, starano się z wojska wykupić; była na to nawet taksa, około 1200 guldenów! Ale płacono, bo co było robić. W wojsku przecież młody całą tracił wolność na lat kilkanaście!

Młodzi poznawali się zwykle na zabawach, świętach lub weselach, i gdy jedno i drugie dość sobie już powieździało, mówiono rodzicom. Ci ułożyli się między sobą w kwestyi posagu i następnie zapijano z reguły sprawę w „Hotelu de Laus“ lub u „Łysego Maćka“ (od dawna nie istniejący szynk na pagórku naprzeciw cerkwi św. Piotra, gdzie dziś dom nr. 97). Było to coś w rodzaju zaręczyn.

Ponieważ w owe czasy przyrzeczenie małżeństwa brano na seryo, więc dawano niebawem na zapowiedzi i oznaczano dzień ślubu i wesela, które trwało z reguły dwa, a nierzadko i trzy dni, zawsze prawie w niedzielę. Wesele odbywało się oczywiście w domu i kosztem rodziców panny młodej, z wyjątkiem muzyki i piwa, bo ten wydatek należał do nowożeńca.

We czwartek, a więc na trzy dni przed weselem, jechała panna młoda ze starościną zwykłym wozem spraszać gości weselnych, w sobotę zaś dwaj drużbowie ze strony pana młodego, odświętnie przybrani, z bukietami u piersi, ponawiali zaproszenie tej treści oracyą:

„Za pierwszą i powtórnią prezencją w dom państwa wkraczamy, ukłon pana młodego i panny młodej do nogi składamy. Pan X. i panna Y. proszą, byście państwo nieodmowni byli, w niedzielę o godzinie 6-tej wieczorem do kościoła św. Antoniego przybyli, a potem do domu państwa młodych, gdzie się będziemy weselili. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Po takim powitaniu ze strony drużbów zapraszano ich na wódkę i przekąskę. I panna młoda nie mogła odmówić poczęstunku, a na dodatek, na odchodnem, zapraszana na wesele gospodyni, wtykała jej do ręki cwancygiera lub guldena „na warzoszkę“.

W przeddzień ślubu zaproszeni goście przysyłali t. zw. „pocztę“, mianowicie: parę gęsi, indyka, parę kur lub kaczek; było to znakiem, że goście zjawią się na weselu.

Zaraz po obiedzie w niedzielę jawili się w domu weselnym muzykanci, — broń Boże żydzi! — dwu skrzypicieli, jeden basista, jeden z fletem lub klarnetem i dwu waltornistów lub puzonistów. Podjadłszy sobie, a więcej jeszcze podpiwszy, ruszali z drużkami po starościnę, drużbów i swachę. Jak taka kalwakada wyglądała nieraz po karnawałowemu, podaję opis wesela u krupiarza K..., udzielony mi uprzejmie przez p. Jana Dobrowolskiego, niegdyś stałego gościa na łyczakowskich weseliskach.

Oto na czele pochodu szedł drużba w kapeluszu naszymi wiórami stolarskimi, w kaftanie pstrokatym, pchając przed sobą taczkę, dywanem okrytą. Za nim szła muzyka, a za nią drugi drużba na koniu, w masce, we fraku i francuskim

trójgraniastym kapeluszu. Siedział twarzą do ogona końskiego, a długie pióro gęsie maczał w kałamarzu, tuż pod ogonem szkapy uwiązany i niby zapisywał tych, co się na niego gapili. Muzyka tymczasem grała skoczne krakowiaki.

Kiedy drużbowie posprowadzali gości na wesele, byli już całe pod dobrą datą, co nie przeszkadzało nowemu poczęstunkowi, zanim państwo młodzi do ślubu się zebrali. Kiedy to się stało, obsiedli rodzice i goście ławy lub stołki dokoła, a państwo młodzi stanęli po środku, przed nimi zaś z muzyką, wieńcem i bukietem, nakrytym welonem, ustawili się drużbowie. Jeden drużba podniósł wieniec i bukiet w górę, a drugi odchrząknąwszy, w te słowa zaczynał przemowę weselną:

„Zaleciwszy dzień dzisiejszy aktu weselnego,
W którym jestem oratorem od Boga samego,
Widząc ten piękny prezent w ręku kolegi mego,
Niech mi się godzi mówić najpierw Bogu wszech-
[mogącemu,

A potem całemu zgromadzeniu weselnemu:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

O korono ukochana, coś żalu dodała,

Żeś tyle łez panieńskich na siebie wylała,

Czyż jeszcze nie masz zadośćuczynienia?

Jeno dodajesz wciąż uzalania!

Przystaj ojczyźnie do córki i ty matko zgniła (chcę
[mówić miła),

By twa luba córka swą parszywą (chcę mówić,
[panieńską głowę)

Pod twoje nogi skłoniła.

Dziś się bowiem rozłącza z rodzicami swemi,

A w stanie małżeńskim do śmierci zostanie; Wiwat!

W tem miejscu muzyka grała tusz!

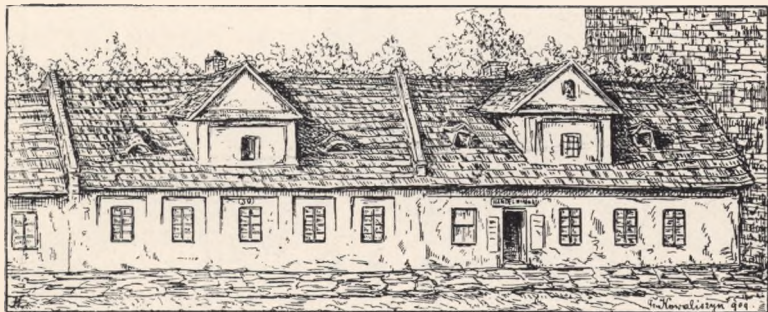
Kiedy już ubrano pannę młodą, drużba obrócił się do pana młodego z oracyą następującą:

„Idzie jawor zielony, ślicznie rozkwitniony,
Który będzie młodemu do boku złożony;
Składa go panna młoda do boku waćpana,

Dziękując za koronę, która jej oddana,
Bo u mnie ta korona w szacunku zostaje
A ja na znak przyjaźni ten bukiet oddaję. Wiwat!
[(tusz).

Po tych słowach przypinał družba nowożeńcowi bukiet do kłapy surduta, a rodzice błogosławili klęczącą parę oblubieńców, przyczem nie obeszło się nigdy bez płaczu, a nadto i bez tłusciejszych dowcipów na temat chrzcin za rok i t. p.

Po tej ceremonii ruszał pochód — jeśli w dzień pogodny — pieszo do cerkwi św. Piotra i Pawła, lub kościoła św. Antoniego, stosownie do obrządku młodej pary, z muzyką na czele. Po obrzędzie zaślubin witała matka młoda



Ryc. 4. Domy z facytkami, zwane „pod słońcem“, dawniej Rozkosza, ulica Łyczakowska I. 59.

parę w progu domu. Przykrywano młodych dużym kożuchem, włosami na wierzch i na tacy podawano im chleb, cukier i wódkę, poczem po pierwszym posiłku hulano do północy, to jest do kolacyi, trwającej do godziny drugiej.

Pod koniec wieczery ginęła nagle panna młoda, a obowiązkiem oblubieńca, czy też młodego żonkosia było ją wyszukać. Trwało to nieraz i dobre pół godziny, zanim ją znaleziono.

Starym obyczajem rozpoczynano teraz taniec t. zw. „poduszkowy“ przy dźwiękach poloneza. W środku pokoju siadał pan młody na krześle; na kolana kładziono mu poduszkę, a na niej usadzano młodą małżonkę, poczem druchny zdejmowały z niej welon i wianek mirtowy. I znowu jeden

z družbów wnosił na tacy czepiec, a podniósłszy go w górę, w te słowa przemawiał do młodej niewiasty zamężnej:

„Czy nie lepiej ci było w panieństwie zostawać,
Anizeli na głowie przypinać se dawać?
Masz nosik maleńki, jak za dudka ogórek,
A wargi ci sterczą, jak u pieca przymurek. Wiwat!“

Po tej niebardzo estetycznej piosence, czy oracyi, podczas gdy staroscina z obecnemi mężatkami ubierała w cze-



Ryc. 5. Typowy dom przedmieszczański (Łyczakowska I. 141).

(Przeznaczony do rozebrania.)

piec panią młodą, sypały się dowcipy, niejednokrotnie tak tłuste, że powtarzać ich niepodobna. W welon i wianek ubierano teraz druchnę i tańczono w koło młodej pary, sypiąc jej na podolek pieniądze, a równocześnie całując w policzki: kobiety pana młodego, zaś mężczyźni panią młodą.

Po poduszkowym tańcu hasano dalej do białego dnia, a nazajutrz z reguły działo się to samo na „poprawinach“ na nowem gospodarstwie u młodych nowożeńców. Tak

więc mimo ciężkiej pracy byli dawni Łyczakowianie przy zabawie i tanach nieustrudzeni; żyli ciężko, ale po bożemu.

W niedziele i święta zapewniali i rano i na nieszpórach kościół św. Antoniego, a na roraty w adwencie o 5-tej rano już świątynia była pełna.

Dziś inaczej na górnym Łyczakowie. Handel krupami popadł w obce ręce; krupiarze albo podupadli, albo zniknęli, albo stali się agentami handlarzy hreczką i produktami młynarskimi. Z całej tej gromady dawnych Łyczakowców, którzy tu niepodzielnie przed pół wiekiem panowali, pozostało dwu jeszcze, jakby na pokaz i świadectwo dawnych dobrych czasów.

Jako pomnik tych dawnych czasów, pozostała dziś jeszcze kaplica, rozumie się, że ani podobna do dawnej, co do której różne stare legendy istnieją; to jednak pewna, że początki dawnej figury giną w niepamięci najstarszych Łyczakowian. Samą figurę kamienną Matki Boskiej miał postawić jakiś szlachcic awanturniczy, jako ekspiacę za grzechy swoje. Mówią, że miał to być jakiś obywatel ziemski z okolic Lwowa. Jedna wersja, cytowana przez Schnüra-Pepłowskiego, podaje Mikołaja Potockiego, słynnego z dziwactw starostę Kaniowskiego. Mnie się atoli zdaje, że owym awanturnicznym szlachcicem, mógł być nie kto inny, jak słynny w połowie XVII. wieku pan na Winnikach, Młynowcach, Podborcach i t. d. Łahodowski, którego mieszczanie lwowscy dobrze pamiętali z rozlicznych warcholstw, jakich się dopuszczał. Napewno i przedmieszczanom tem bardziej nie przepuścił, a będąc we Lwowie często, tamtędy przez Łyczaków jeździł do domu i z domu.

Figura sama stała zrazu pośrodku gościńca Gliniańskiego. Jakiś dygnitarz austriacki, jadąc raz wieczorem, zaważdził kolaską o figurę i złamał oś. Tem rozgniewany, kazał nazajutrz figurę rozebrać i porzucić obok pod parkanem. Niebawem ociemniał...

Pobożni łyczakowscy przedmieszczanie podnieśli sprofanowaną figurę Matki Bożej z błota i kurzu drogowego i postawili w miejscu, gdzie dziś stoi kaplica. Tak było do roku 1850, w którym krupiarz Parada postawił dokoła figury cztery filary i nakrył je dachem. W kilka lat potem obywatelka Gorecka zainicyowała akcję budowy kaplicy,

której miejsce przed paru laty zajęła obecna kaplica nowoczesnej struktury.

Jak widzimy, Łyczakowianie dawni byli wytrwałymi w chronieniu swoich pamiątek. Tak samo bronili swej wła-



Byc. 6. Ostatni wójt przedmiejski Wojciech Dublewski (r. 1812).

(Malował T. Pelczarski we Lwowie.)

sności. Mieli bowiem, niby osobna gmina, swą własność wspólną: kilkadziesiąt morgów gruntu za rogatką łyczakowską, nadane im na użytek tak samo, jak i innym oby-

watelom Lwowa. Snać siedzieli oni na tych swoich gruntach na prawie wolnem, a nie jako powinni do spełniania czynności, jakie były udziałem chłopów, nawet czasowo „na woli“ osadzonych.

Otóż magistrat lwowski, ówcześni sławetni, pozazdrościli przedmieszczanom „halickiego przedmieścia“ owych pastwisk, daleko za ówczesnem miastem położonych i *iure caduco* zająć je chcieli, a przynajmniej zmusić przedmieszczan do odrabiania za używanie gruntu szarwarkowych powinności. Łyczkowie, czyli przedmieszczanie nie dali się; owszem wiedli długi snąć proces, skoro w dniu „pierwszej środy po Wielkanocy 1627“ wnieśli do grodu lwowskiego akt do oblatowania, kończący ostatecznie proces z magistratem lwowskim. Akt ten brzmi w odpisie wierzytelnym tekstu łacińskiego:

„Do urzędu obecnych aktów grodzkich i ziemskich lwowskich stawiając się osobiście szanowny Albertus Otto przedmieszczanin lwowski, oddał temuż urzędowi Dekret Jego król. Mości autentyczny, Pieczęcią większą kancelaryi królestwa naznaczony i ręką Jaśnie Wielmożnego Feliksa Kryskiego, kanclerza koronnego podpisany, między Magistratem miasta Lwowa a przedmieszczanami lwowskimi z przyczyn niżej wymienionych wydany, niepodejrzany z żadnej strony, z prośbą, aby tenże dekret do aktów obecnych *per oblatam* wpisano, co też urząd wykonał“.

Ten zaś dekret brzmi jak następuje:

„Zygmunt III. z łaski Boskiej król Polski, Wielkie ksiązę litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie i Liwonii, jako też dziedziczny król Szwedzki, Gocki, Wandalski. Dajemy do wiadomości tym naszym pismem wszystkim, którym na tem zależy i każdemu z osobna, że kiedy w sprawie szanownego Jakóba Kryskiego i Macieja Ziemiańska w swoim i wszystkich razem przedmieszczan Lwowskich imieniu przeciw szanownym: Prokonsulowi, konsulom, adwokatowi, ławnikom i całemu zgromadzeniu naszego miasta Lwowa z okazji przynaglenia i przymuszania przedmieszczan do różnych ciężarów i robót nienależnych wbrew przepisom przywileju Najłaskawszego króla Zygmunta Dziadka naszego przez poruszających tę sprawę właśnie w naszej kancelaryi znalezionej, jako też z powodu zakazu

skupywania i przywożenia, jużto kruszcu, jużto innych towarów rzenieślnikom i kupcom na tymże przedmieściu przebywającym, niemniej z powodu zakazu używania wspólnych pastwisk i wyrębu w lasach, tak drzewa dla domowego użytku, jako też gałęzi i żerdzi na ich własne płoty — w obecności naszej i sądu naszego postawionej i rozpoczętej pewnych inkwizytorów dla naszej informacji wyznaczyliśmy do poznania stanu wspomnianych przedmieszczan, czy zwyczajem obywatelskim, czy też na prawie kmiecym są ulokowani — jużto z aktów i rejestrów obywatelskich, jużto świadectw, wreszcie ze zwyczaju mających się wykonać robót — i czy ciż sami przedmieszczanie jakieś ziemie kmiecie posiadają — i termin strony wspomnianym przed Sądem naszym wyznaczyliśmy — tymczasem zawiesiwszy badania o towarach jako rzecz wymaga, aby dekret nasz o powiedzianych wyżej dokładnie świadczył. I tak na terminie dzisiejszym Sądu naszych własnych relacji, częścią z odwołania się na zdanie assesorów Sądu naszego, przez poruszających tę sprawę do was wystosowanego, częścią z przyjęcia sprawy dotąd przewlekanej przed nami, wreszcie przez naszych assesorów do końca doprowadzonej — wspomnianym stronom czynnym, t. j. przedmieszczanom halickim przez Jakóba Zarzeckiego i Macieja Ziemiańka, cytowane zaś przez Jaśnie Oświeconego Stanisława Krzystanowicza, Syndyka Plenipotentą i jego wysłańców przed nami się znajdujących, a na tym terminie doświadczających, po wprowadzeniu inkwizycji, za dekretem naszym ukończonej. Obiedwie strony swoje twierdzenia w pierwszych instancjach, wobec nas wnoszone powtarzały — prawa, przywileje i pisma przedstawiały.

I tak strona czynna przedstawiała Przywilej Najłaskawszego Zygmunta Dziadka naszego najpożądańszego — którym obywatele lwowscy i wszyscy inni łany i grunta tegoż miasta posiadający, od wszelkich podatków i ciężarów i robót uwalniają się. A przeciwnie strona wezwana utrzymywała, że do ponoszenia tych ciężarów i robót są obowiązani, — dlatego: że na gruntach obywatelskich, ze stu łanów ulokowani są bez żadnej różnicy, nadto, że nawet sami obywatele wspomnianych gruntów jakąś część

posiadający od tychże wolnymi nie byli — wywodząc to z przywilejów tak naszych, jako też króla Stefana. Nadto wykazywali, że z przywilejów Zygmunta króla, Dziadka naszego, nie obywatelskie ciężary miastu przynależne, lecz królewskie łanom darowanym nałożone, usunięte tym przywilejem były, — i że je znowu innym przywilejem Zygmunta Augusta Dziadka naszego dla obywateli wydanym — ciężary obywatelskie zmniejszono.

Wreszcie z pewnych zapisów przedmieszczan wyprawdzali, że ci są obowiązani do robót zwanych „szarwarki“. Zaś towary tylko obywatelom i tym, którzy prawem obywatelskim się cieszą, na podstawie ich przywilejów przynależą i że słusznie usiłowali przedmieszczanom tegoż zabronić. Zaś co się tyczy użytku lasów, to te tylko na naprawę dróg publicznych się zachowują, a więc nie można pozwolić prywatnym z nich użytkować. Pastwiska zaś zarówno przedmieszczanom, jak i obywatelom są pozwolone. A na ostatek prosili, aby ich zachowano przy ich prawach i przywilejach.

My z doradcami przy boku naszym zasiadającymi, wysłuchawszy i pilnie zważywszy stron sprzeczkę i rozważywszy to, że przedmieszczanie lwowscy, zamieszkali na tych łanach, które Kaźmierz król nasz poprzednik miastu lwowskiemu darował, a potem tenże sam Kaźmierz jako też Zygmunt Dziadek nasz od ciężarów rozumie się królewskich wyjął — i że te same łany dano na użytek i wygodę miasta jako też obywateli, przybyszów i obcych, którzy je mieli posiadać, budynkami ozdabiać i uprawiać. — A zatem na kmieci i kolonistów te łany obsiadających wolno jest obywatelom lwowskim podatki, ciężary i roboty nakładać, ponieważ sami obywatele lwowscy, a nawet urzędnicy w magistracie, którzy jakąś część tych łanów obywatelskich posiadają — ciężary nazwane szarwarki ponoszą.

A zatem rozstrzygamy, że przedmieszczanie haliccy powinni i obowiązani są tego rodzaju ciężary ponosić i roboty zwane „szarwarki“ według poprzednich dekrétów i danego zwyczaju wykonywać — to zaś wypełnianie ciężarów i robót tak deklarujemy: aby w miejsce długich robót „szarwarki“ każdy przedmieszczanin bez wyjątku z każdego domu rocznie groszy 15 — podobnież i komornicy i którzy

żywność dla koni nabywają 10 groszy, zaś każdy pieszy po 5 groszy do skarbcza publicznego miasta Lwowa składał. Po spełnieniu tego rocznego podatku — już więcej do spełnienia wspomnianych robót obowiązcywani ani zmuszeni być nie powinni — od których to robót przedmieszczan wolnymi ogłaszamy, jednak ten szczególny dodajemy warunek, aby magistrat tego miasta, zebranej w ten sposób sumy pieniężnej na inny cel nie obracał, jak tylko na wy-



Ryc. 7. Dawny dworek Jabłońskich, róg ul. św. Antoniego i Kurkowej.

(Rozebrany w r. 1898.)

sypywanie kamieniami drogi publicznej tegoż przedmieścia i naprawianie, ile razy by tego potrzeba wypadła.

Co się zaś tyczy reszty punktów tak pastwiska jak i użytku lasów — postanawiamy, aby każda strona stosowała się do przepisów Dekretów dawniejszych Najmł. króla Stefana, jako też i naszych.

Zaś co się tyczy handlu, tak decydujemy i deklarujemy, aby każdemu rzemieślnikowi sigillatum wolno było kupować jakiegokolwiek materyał i to tyle, ile mu do wyrobienia i wykonania swego rzemiosła i zarazem wygod wystarcza.

Jednak tak, aby komuś drugiemu tegoż materiału nie zużytkowanego nie sprzedał, chociażby to na swój użytek obracał.

Dopóki wreszcie coś innego pomiędzy temi stronami ze względu na handel w czasie dogodniejszym nie postanowimy i nie zadecydujemy na podstawie Dekretu naszego. Na wiarę tej sprawy pieczęć królestwa do obecnego Dekretu jest przyłączona.

Dano w Warszawie w sobotę przed niedzielą *Iudica prosimo* roku pańskiego 1614. — Panowania naszego w Polsce 27-go Roku — a w Szwecyi 21-go Roku. Feliks Kryski m. p. Kanclerz koronny. Jan Oktawian Waclawowicz“.



Ryc. 8. Typowy dom ze szczytowym frontem w ul. Ubocz (Łyczaków).

Przywilej królewski uszanował i rząd zaboreczy i późniejsze magistraty lwowskie, pozostawiając Łyczakowian w spokojnem posiadaniu gruntu na Pasieckach. Gospodarka jednak onym majątkiem „halickich przedmieszczań“ była tego rodzaju, że przynosiła jedynie korzyść zarządzającym nim jednostkom, ale nie ogółowi. Bywało nawet i tak czasem, że kazano płać przedmieszczańom za glinę lub piasek, na tym gruncie brane, choć to wspólną było własnością. Na obszernem zaś kilkunastomorgowem pastwisku wojskowość swe odbywała ćwiczenia, ze szkodą dla właścicieli. Stosunki zmieniły się radykalnie od r. 1881, gdy gospodarka „majątkiem łyczakowskim“ przeszła w ręce obywatela Adolfa Podłowskiego. Ten zabrał się do pracy energicznie;

plac ćwiczeń wydzierżawiono wojskowości za 622 K. rocznie, wynajmuje się pastwiska i grunta, a dochód z tego idzie na cele dobroczynne i publiczne. Z funduszu stąd uciulanego obrócono 11.000 K. na odbudowę wzmiankowanej wyżej kaplicy. Tak więc nie marnieje dalej majątek, będący pamiątką po królach polskich.

Przedmieszczanie nie brali cudzego i swego nie oddali łatwo, a nie mając w sercu zawziętości, bawili się, gdy okazyja się po temu nadarzała. Urządzano sobie codziennie muzyki na harmoniach, ba, czasem nawet na pokrywkach blaszanych, gdy nie było innego pod ręką instrumentu. W czasie od Bożego Narodzenia do Gromnicznej młodzi przebierali się za kołédników z nieodłącznym „toruniem” t. j. baranem, żydem, ułanem, huzarem, pastuchem, laufrem i t. d. Chadzano również z „wertepą” t. j. szopą, ale tylko do znajomych; z biegiem lat wzięto się do tego procederu i przedmiejskie tałałajstwo, aż kołédnictwo spowszedniało zupełnie.

W ostatni wtorek odbywało się w „Hotelu de Laus” chowanie do grobu basa. O północy zbierali się obywatele i obywatelki na zabawę. Z kuflami piwa lub kieliszkami wódki obchodzono pochodem procesyjnym cały lokal, poczem otwierano szynkwasy i wkładano węń basetle, przyczem wypowiadano komiczne — no i tłuste mowy pogrzebowe. Stypa pogrzebowa trwała aż do rana; płasano nawet przy muzyce, ale bez basetli....

Charakterystycznie odbywały się pogrzeby dzieci. W dzień pogrzebu przybywało czterech drużbów, jeśli małe dziecko było dziewczyną, albo cztery druchny, jeśli chłopakiem. Ustrojeni w bukiety, brali trumienkę na chustki, których końce trzymali, a chwiejąc trumienką u progu domostwa, wypowiadali trzykrotnie następującą formułę: „Dziękuję ci panie ojcze, dziękuję ci pani matko za wychowanie”. — Poczem udawano się na mogiłki, czyli po Łyczakowsku popularnie mówiąc: „na piaski”. Po powrocie oczywiście musiała być stypa, bo inaczej zmarły nie miałby spokoju na tamtym świecie.

A jeszcze jedną osobliwość miał górny Łyczaków, ale to już było za rogatką. Była to t. zw. „dziadownia” czyli dziadowska gospoda, leżąca już na terytorium Krzywczyc. Tam złązili się

dziady z całej dzielnicy, a mieszkając razem i wspólne prowadząc życie, tworzyli coś w rodzaju dziadowskiej republiki, nie niepokojonej przez lwowską policję za rogałką. Gdy jednak orgie dziadowskie poczęły przechodzić dozwoloną miarę, przepędzono ich z Łyczakowa i porozłazili się po innych dzielnicach, głównie w stronę północną.



Iluc. 9. Ostatnia wiejska ulica we Lwowie, (ulica Henninga).

Szkic niniejszy do dziejów górnego Łyczakowa nie byłby zupełnym, gdybym nie wspomniał jeszcze o paru indywidualnościach, temu przedmieściu przed pół wiekiem właściwych, zanim się i przedmieszczaństwo nie skosmopolizowało.

Strój mężczyzn w dniu powszednie składał się w lecie z krótkiego spencera, spodni do butów z cholewami wyso-

kiemi i twardemi, z granatowej kamizelki, chustki na szyję i czapki (sadełka) z daszkiem. Strój ten uzupełniała wystająca z kieszeni chustka kolorowa do nosa. W dniu świąteczne kładli Łyczakowianie na sobie granatową kapotę i konfederatkę, a niekiedy cylinder. Zimą noszono kożuszek barani, krótki lub długi.

Kobiety wiązały głowy uczesane gładko, chustką. Nośły dostatnie katanki wełniane, parę krochmalnych spodnic i chustkę na ramionach — no i korale, niekiedy do 500 guldenów wartości. Dziewczęta nosiły się tak samo, z tym wyjątkiem, że nie miały głowy chustką przykrywanej, lecz spuszczały warkocze, a we włosy wpinały kwiatki. Dziewoje to były rosłe, tęgie, rumiane i zamaszyste, a odważne, i gdy jakiemu natrętowi przyklepała ręka dziewczuchy łyczakowskiej, to mucha tam na tem miejscu długo nie siadła.

Dla złagodzenia obyczajów i ogłady towarzyskiej nie mogła dopomóc jedyna szkoła trywialna trzyklasowa im. św. Antoniego, tem więcej, że zaledwie $\frac{1}{4}$ dzieci do niej uczęszczała, a $\frac{3}{4}$ było zupełnych analfabetów, pilnujących domu, młodszej dziatwy i — koni lub bydła. W dodatku jedynym w owe czasy środkiem pedagogicznym była trzcina lub karteczka „cenzora“, za którą brało się od 5—10-ciu plag bez względu na płeć dziecka. Nic dziwnego, że czyto chłopiec, czy dziewczyna, czekali z utęsknieniem, rychło ukończą „trywiałkę“ i albo zostaną w domu do pomocy rodzicom w gospodarstwie, lub też pójdą „na mularkę“ zarabiać samoistnie, a równocześnie uzyskają uzdolnienie do rzemiosła, które było w regule związane z rzeźnictwem lub nawet i krupiarstwem, choć to już rzadziej bywało. Krupiarze bowiem tworzyli rodzaj arystokracji łyczakowskiej.

Wśród tej tedy „arystokracji“ nie było awanturników; za to z tamtych murarzy lub rzeźników wychodziły figury, będące postrachem nie tylko zabłąkanych na Łyczaków intruzów z miasta, ale samych mieszkańców przedmieścia. Górny Łyczaków do dziś jeszcze przekazał pamięć tych paru junaków, którzy się szczególnie odznaczyli swym „temperamentem“, nie mającym nic wspólnego z bandytyzmem n. p. kleparowskim lub zamarstynowskim. Była to swego rodzaju rycerskość łyczakowska, nie więcej.

Prym w tem gronie trzymał długie lata murarz Kuba Pelc. Nie było okazyi, żeby kogo ognisty Kuba nie pobił. Pewnej niedzieli, jakoś przed rokiem 1848, podczas zabawy w karczmie za Łyczakowską rogatką, zwanej „babski korzeń“, powrzucał do studni głową na dół jednego po drugim 9 grenadjerów, chłopów na schwał, rosnących, którzy — przeważnie Rusini — „odznaczyli“ się w czasie Hamersteińskiej bombardacyi Lwowa.

Ów straszny Kuba nie miał wcale wyglądu Herkulesa: wzrostu był średniego, przysadzistej budowy ciała; łagodny zresztą był, póki sobie nie podpił. Wtedy ledwie podrażniony, dobywał ze siebie ryk, niby lew zraniony i bił, co pod rękę podpadło. Kiedy w sobotę wracał wieczorem po wypłacie na Łyczaków, a koło św. Piotra ryknął sobie swoje „enium!“ słyszano go za rogatką i... ustępowano z daleka z drogi, gdy kto chciał mieć całe gnaty, lub łeb nierozbity.

Ale jak w Rzymie król gaju Nemoreńskiego panował tak długo, póki go kto silniejszy nie zmógł, tak samo i na Łyczakowie górnym straszny był junak tak długo, póki go drugi nie pobił. Tak było i z Kubą Pelcem. Lata wojował, aż go w czasie jednej uroczystej zabawy zmógł i pobił Kasper Smoleński. Od tego dnia Pelc poszedł w odstawkę, chociaż Smoleński długo nie wydzierżył berła „króla Łyczakowa“. Natrafił na swego w osobie rzeźnika Antoniego Plecioną, który przez lat kilkanaście rej wodził niepodzielnie w zawadyackich na Łyczakowie rozprawach.

Gdy nadchodził czas rekrutacyi, lub gdy po jakiejś krwawej awanturze następowała policya na pięty Plecionowi, umykał tenże do Rosyi, gdzie spełniał rodzaj agentury w handlu wieprzami. Kiedy sprawa poszła w zapomnienie, zjawiał się znowu na górnym Łyczakowie, na postrach głównie strażników skarbowych, pełniących w owe czasy służbę na rogatkach Lwowa. Był bowiem Plecion i przemynikiem — z amatorstwa. W czasie przemycania pewnego razu cieląt z Krzywczyc, gdy go strażnicy chcieli przytrzymać, połamał im karabiny i pobił „rewizorów“ dotkliwie. Jeden jednakże bagnetem przebił Plecionowi udo na wylot i zuchwały junak parę miesięcy leżał w szpitalu, zanim się wyleczył do tyła, by umknąć do Besarabii, tym razem na czas dłuższy.

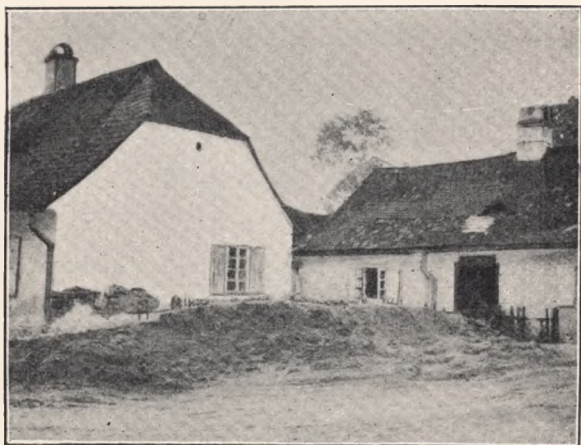
Ostatnim czynem Pleciona było pobicie dwu policyantów, poczem ze dwa lata przesiedział się w Rosyi. Gdy wrócił stamtąd do Lwowa, natrafił na niejakiego Grünera, rzeźnika, który go formalnie zmasakrował w bójce. Ów Grüner był to człek szalonej odwagi; drzwi rozbić głową, było dla niego niczem, a atletów z „rajteraj“, jak pod owe czasy we Lwowie cyrki nazywano, kładł jednego po drugim.

Poczet ten Łyczakowskich awanturników zamykali: rzeźnik Teofil Berliński i Tomasz Iwanowski, murarz. Niejednemu obcemu przedmieszczaninowi napędzili oni strachu i guzów. Taktyką ich wojenną było wpadać w środek większego zebrania, które im nawet często okazyi do awantury nie dawało. Gdy zrobili zamieszanie, bili dokoła, kogo dopadli, i nim tamci mieli sposobność ochłonąć i pojąć co się stało, kłaniali się figlarnie i odchodzili, jakoby nic nie zaszło.

Jeszcze jeden godny zanotowania szczegół, przypominający coś w rodzaju Radziwiłłowskich figlów. Czyto dla fantazyi, czy dla pewnego rodzaju ekspiacji za burdy, mieli niektórzy gospodarze zwyczaj sprawiać fetę dla dziadów. W oznaczonym dniu zabito wieprza, narobiono kiszek i kiełbas, nagotowano kapusty i sprowadzano zapas wódki i piwa. Do stołu zwieziono 12-tu dziadów, albo z ulicy, albo z domu ubogich i fetowano ich, przyczem gospodarz sam usługiwał do stołu. Po paru godzinach takiej uczt ze łbów dobrze się kurzyło, a nogi wypowiadały posłuszeństwo; to też dziadostwo pokotem leżało na podłodze, popite i chrapiące, ku wielkiej ucieście gospodarstwa.

Tak to żyli i bawili się przed pół wiekiem na górnym Łyczakowie. Zmieniły się czasy i zmienili się ludzie. Miejsce „dyabelskiego młyna“ na Łyczakowskiej deprze zajął park Łyczakowski z pomnikiem Głowackiego, a już nawet daleko za rogatkę wyciąga swe ramiona cywilizacya — i ciężka walka o byt i o codzienny kawałek chleba, który przedmieszczanom przed pół wiekiem daleko łatwiej i dostatniej przychodził.

Rodzajem enklawy do przedmieścia Łyczakowskiego, bo przedzielona jedynie t. zw. Łysą Górą, była ul. św. Wojciecha i okolica Wysokiego Zamku pod Kopcem przy ul. Teatyńskiej. Okolica ta nie używała do niedawna jeszcze dobrej sławy, głównie z powodu osiedlonych tamże cyganów, którzy przed dziesiątkami lat zaczęli o Lwów, by się w nim zaaklimatyzować. Magistrat lwowski niechętnem patrzył okiem na usiłowane próby osiedlenia się potomków Indów z nad Gangesu i czemprowadził transportować ich dalej; były jednak czasy, gdzie władze miejskie



Ryc. 10. Stare domki w ulicy św. Wojciecha.

były mniej surowe i na utrapienie mieszkańców Lwowa nie miały nic przeciw „uobywateleniu“ cyganów.

Na osady takie wyznaczono im jary pod Wysokim Zamkiem, tuż pod obecnym Kopcem „Unii“ od strony ulicy Teatyńskiej, oraz ulicę św. Wojciecha. Gospodarka nowych „obywateli“ rozpoczęła się istotnie po cygańsku. Pozakładali wprawdzie kuźnie, gdzie robili podkowry, a szczególnie haki i gwoździe, zasilając wyrobem tym przeważnie blacharzy do robót dachowych, ale rzemiosło wrodzone: przywłaszczanie sobie cudzych rzeczy, uprawiali z daleko większym zamiłowaniem.

Wobec takich warunków, bezpieczeństwo własności przedmieszczan sąsiadujących z cyganami stało się bardzo problematycznym, a zdarzało się też więcej jak często, że przechód przez wspomniane ulice po zachodzie słońca stawał się niebezpiecznym dla spacerowiczów z miasta.

Cygańscy mieszkańcy ulicy św. Wojciecha i z pod Zamku, jako osiedli między gęściejszem zaludnieniem, a wskutek tego stykając się częściej z przedmieszczanami, zatracali powoli swój charakter cygański, jakkolwiek zupełnie wszystkich cech się nie pozbyli. Dowodów na to dostarczyłyby dość registratury lwowskich sądów karnych.

Najsmutniejszą jednak przeszłość miała samotna osada cygańska tuż pod Kopcem, nie istniejąca już od lat kilkudziesięciu.

Na miejscu, gdzie stała ta osada, a raczej tylko kuźnia cygańska, jest dziś wygodna droga, wysadzona drzewami, a po obu jej stronach trawniki, zieloną trawą zasiane, zapraszają do wygodnego spoczynku na nich.

Przed laty jednak, o czem zapewne niewielu pamięta, był w tem miejscu jar głęboki i dzikie pustkowię. Początkowo kopano tu kamienie, a gdy się ich zapas wyczerpywał i nie opłacał już więcej kosztów wydobywania, jar zostawiono i nic już nie ożywiało tego miejsca, prócz samotnej kuźni.

Miejsce to było tak dzikie i straszne, że nawet w dzień unikano go, a dzieci igrające pod Zamkiem, zapędziwszy się czasem w te strony, uciekały czemprowadziej z obawy przed „cyganami“. Czem zasłużyli sobie mieszkańcy kuźni na taką reputację, nie trudno odgadnąć, ze względu na wyżej opisane ich nałogi.

Do okropnego wyglądu tego jaru przyczyniała się niemało i ta okoliczność, że wyrzucano tam padlinę wszelkiego rodzaju z okolicy, tak, że powietrze w dnie letnie było tu nie do zniesienia. Sąsiedztwo jednak tego cmentarza bydłowego nie szkodziło wcale mieszkańcom samotnej kuźni.

Kuźnię właściciele opuścili, przeniósłszy się do miasta, na niecygańskie mieszkanie, a tysiące fur śmiecia z kamienic lwowskich i rumowiska posłużyły do zasypania straszego jaru i wyrównania gruntu dla założenia w tem miejscu wygodnej drogi na Zamek.

Jeżeli już jesteśmy w tej okolicy, nie możemy pominąć milczeniem studni, która również do niedawna jeszcze smutną cieszyła się sławą. Studnię tę, ze względu na przeszłość jej, można było śmiało nazwać „studnią samobójców“.

Nieco dalej w górę od ulicy Teatyńskiej wila się przed niebardzo dawnymi jeszcze czasy stroma, wązka ścieżyna, prowadząca właśnie do wspomnianego kamieniołomu. Służyła ona prawie tylko dla mieszkańców samotnej kuźni i dla innych podejrzanych indywiduów, szukających w jarze noclegu lub schroniska.

Przy owej to ścieżynie stała ta studnia, lichy ocembrowana, bardzo głęboka, z której *antiquo modo*, zapomocą koła wiadrami wodę dobywano.

Studnia ta, właśnie może dlatego, że stała na pustkowiu, miała coś pociągającego dla ludzi, chcących wziąć rozbrat z życiem, a bojących się stryczka lub kuli pistoletu. Niepodobna oznaczyć daty, kiedy znaleziono w niej pierwszego samobójcę; faktem jest jednak, że znajdowano ich stosunkowo dość często, a co do niektórych miewano nawet podejrzenia, jak świadczyły ślady, że niekoniecznie targnęli się sami na swe życie...

Studnię ostatecznie zasypano i niema śladu już po niej. Wraz ze sąsiadką swą — kuźnią cygańską w jarze — znalazła może jedyne wspomnienie w niniejszej notatce.

IV.

Bajki.

Ave, morituri te salutant! — mogą śmiało powiedzieć mieszczuchowi lwowskiemu (jeśliby oczywiście po łacinie umieli się wyrażać) obywatele bajeccy, tulący jeszcze swe lary i penaty w okolicy gipsarni p. Franza i w ulicy Błotnej; tam bowiem pozostały wyparte przez cywilizacyjną parcelację resztki przedmieścia, zwanego ongi Bajkami, słynącego z bajecznego istic błota i bezpieczeństwa także bajecznego. Najmłodsze pokolenie, gdy dorośnie i tramwajem elektrycznym posunie aż ku Kulparkowskim błoniom, ani się może domyśli, że przed niewielu dziesiątkami lat była tu prawdziwie wiejska idylla, z niskimi chatynkami, często strzechą pokrytymi, z płotami z gęstych krzewów. Od wpływów cywilizacji chroniły Bajki jak naturalną fortecę z jednej strony stawy wuleckie i rozległe moczary, z drugiej cmentarz gródecki; od tyłu błotniste łąki Kulparkowskie, „gdzie dyabeł dobranoc powiedział“, a od strony Maryi Magdaleny rozległy i nieprzystępny folwark dominikański. Nic dziwnego, że mogła się tam urodzić piosenka o „Magdalankach“ (tak się zwały w swej gwarze Bajczanki):

„Za górami za lasami
Tańczyła Magdalanka z kozakami...“

W tamtych bowiem okolicach obozowali w r. 1849 kozacy rosyjscy, spieszący Austrii z pomocą na zgniecenie węgierskiego powstania. Piosenka ta, to może ostatnia pamiątka po „Magdalankach“; zniknęły one dawno z widowni,

a ich potomstwo przekształciło się zupełnie pod wpływem cywilizacyi — i pieniędzy, za grunta pod parcelacyę wzięte.

Pionierami Bajek, tego prawdziwego *Far Westu* Lwowa, byli: niepokąźny na oko człowieczek, a wielce przedsiębiorczy p. prof. architektury Jan Lewiński i ś. p. Zachariewicz. Oni to pierwsi, niby traperzy amerykańscy, zapuścili się w przedmieście bajeckie i stworzyli Kastelówkę, a z nią nowe drogi do parcelacyi. I oto ledwie 20 lat minęło, a na gruzach (*sit venia verbo*) Bajek stanęło niemal nowe miasto, nawiasem mówiąc, ładniejsze od rodzimego Lwowa. I po pewnym czasie, gdy pp. Zachariewicz i Lewiński od wschodu wrzynali się w Bajki, od zachodu zabawił się w pioniera p. Franz. Tak we dwa ognie wzięci Bajczanie nie wytrzymali naporu i sprzedając dobrze grunta, znikają lub zniknęli. Snać obcy im lokalny patryotyzm, jakim się Łyczakowianie odznaczają. Ci ostatni po wielu rozpaczliwych wysiłkach z biedą, Bajczanie z lekkim sercem, na dźwięk koron pozbywają się ojcowizny. Nie mieli tradycyi, jak tamci... Ale dajmy pokój refleksyom. Słusznie powiada Mefisto:

„Cielec złoty dziś rządzi rad,
Wszyscy każą przed tą władzą,
Jak długi i szeroki świat...”

Dążenie do „korony“ czyto na głowie, czy w kieszeni, było od początku świata ambicyą ludzi, i o zmianę tego stanu nawet kusić się nie warto.

Wracam tedy w myśli na Bajki z przed lat czterdziestu... Jak Łyczakowscy mężowie „bawili się“ rzeźnictwem, a ich kobiety krupiarstwem, tak znowu Bajczanie chadzali głównie „na mularkę“, a kobiety sprzedawały ogrodowiznę na rynku i lwowskich targach. Pomimo tak zasadniczo sprzecznych zawodów, dziwnym trafem najczęściej kojarzyły się małżeństwa między Łyczakowem a Bajkami, — bo Bajczanki słynęły urodą i zdrowiem, dzięki sielskiemu charakterowi swego przedmieścia. Były też z nich dobre żony i dobre matki, co stwierdza wielu dobrych obywateli bajeckiego pochodzenia.

Janowskie.

Janowskie przedmieście nie miało nigdy dobrej sławy. Od awanturników aż się tamże roiło, a niestety archiwa lwowskich sądów karnych mogłyby wiele o nich powiedzieć. Nie było tajem, że część bandy słynnego niegdyś opryszka Neczyporowicza na Janowskiem miała swoją siedzibę. Bliskość lasu Biłohorszczy i błonia, oraz debry na gruntach t. z. Pilichowskich, ciągnące się nieprzerwanie aż ku Kortumówce i Kleparowu, stanowiły znakomite kryjówki bandyckie, a zarazem utrudniały pościg za rabusia-



Ryc. 11. Stary pałac w ulicy Janowskiej.

mi i awanturnikami. Wszak żywo stoi jeszcze w pamięci napad przed laty 30-tu na dom akcyzowy przy roгатce janowskiej, a także straszny pożar siana przed roгатką, gdzie kilkudziesięciu tych włóczęgów życie postradało.

Lewa strona przedmieścia była zresztą martwa od czasu, gdy na niej pobudowano gmachy wojskowe. Po prawej ostatnim etapem „Europy“ był młyn parowy Thoma; poza nim już małe dworki i domki; wśród nich resztki dworku, podobno nie raz przebudowane, gdzie Łoziński przedstawił epizod powieści „Żółty generał“. Oprócz dwu lub trzech domków, gdzie jeszcze są ślady stylowych okien,

dziś próżnoby było szukać w tej ulicy resztek dawnego gościńca, zaczynającego się pierwotnie od kościoła św. Anny, a wiodącego na Janów, Jarosław, ku Krakowu.

Na wzmiankę przy tej ulicy, ostatniej, na którą zawiózł cywilizację tramwaj elektryczny, zasługuje jeszcze staw Hellenbrandów, gdzie z reguły co roku, dla braku wszelkiego dozoru, musiał się ktoś z kąpiących utopić. Staw zresztą istnieje do dziś, jako zaniedbane, zapuszczone bagno.

Kleparów.

Sąsiadujący z Janowskim bezpośrednio Kleparów, sławny dawniej czerechami kleparowskimi, jest raczej wsią, niż przedmieściem, i był nią takim samym przed pół wiekiem. Pod względem zachowania się przeciętnego Kleparowianina niema różnicy w porównaniu z jego sąsiadem z Janowskiego. Zajęciem tych przedmieszczan dawniej było ogrodnictwo i sadownictwo; od dawna porzucili je dla korzystniejszej, — jak sądzą — „mularki“. Co prawda, kolej i łatwość dowozu wszelkiego rodzaju produktów warzywnych i owoców stanowią dla tych przedmieszczan niedającą się niczem zwalczyć konkurencyę.

Zresztą przy omawianiu przedmieścia Żółkiewskiego będziemy mieli sposobność wskazać, co właściwie wpłynęło na pewną deprawacyę północno-zachodniej i północnej strony Lwowa. Z góry zastrzegamy się, że jesteśmy pod względem wykazywania przyczyn zupełnie przedmiotowi.

Zielone i Stryjskie.

Jako część ogromnie przed wiekami rozległego przedmieścia Halickiego, nie odgrywało Zielone nigdy wybitniejszej roli we Lwowie i jego życiu. Martwa to była dzielnica i jedynie obszerne podwórza zajezdne przy niektórych domach wskazują do dziś jeszcze, że ulica ta była niegdyś jednym z traktów (do Rohatyna, Stanisławowa, Kołomyi i dalej na Wschód). Z dawnych podmiejskich dworów magnackich stoją do dziś jeszcze pałacyki Zamoyskich i Dzieduszyckich.

To samo da się powiedzieć o Stryjskiem, dziś do niepoznania zmienionem od czasu wystawy w r. 1894.

V.

Żółkiewskie.

Przedmieście Żółkiewskie, ów ogromny obszar, zamknięty z jednej strony ulicami Szpitalną i Źródlaną, z drugiej górą Zamkową i debrami pod Łysą Górą i Kiselką, a od południa placami Gołuchowskiego i Krakowskim, nosiło na sobie od wieków cechy wybitnie żydowskie i jeżeli zważymy, że na tem miejscu rozsiedli się Żydzi już od XIV. stulecia, a nawet dawno przed zajęciem Czerwonej Rusi przez Kazimierza Wielkiego, to dziwić się istotnie należy, że tylokrotne napady tatarskie, kozackie i tureckie nie stały bez śladu tego przedmieścia, bądź co bądź niczem nie ufortyfikowanego, a zupełnie po miejsku i gęsto zabudowanego. Jest to tem dziwniejsze, że inne przedmieścia, a w szczególności Halickie, niemal przy każdym najeździe padały ofiarą ognia, rzezi i jasyru.

Tajemnicę tej pewnego rodzaju samoochrony wyjawia zapewne kiedyś jakiś historyk miasta Lwowa. Wygląd tej dzielnicy prawie że nie zmienił się w ciągu pół wieku, chyba, że gdzieś tam małe domy zajęły kamienice, nawiasem mówiąc — brudne jak i ich poprzedniczki. Dzielnica to handlowa, jak dawniej; z małą zmianą obyczaje w niej, im dalej na przedmieście, tem gorsze, jak n. p. na Zamarstynowie.

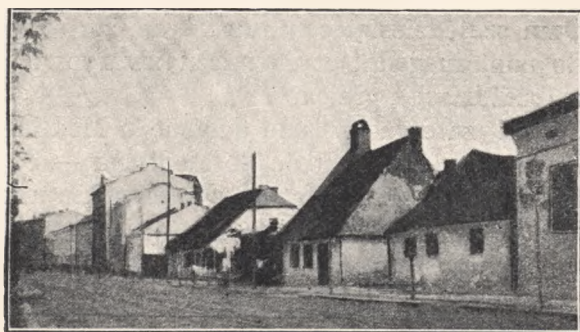
Dr. Majer Balaban w swem znakomitem dziele: „Żydzi lwowscy na przełomie XVI. i XVII. w.“ tak pisze o tem przedmieściu:

„Mieszkali tu żydzi luzem między chrześcijanami; tu też mieszkali szumowiny społeczeństwa żydowskiego, jak

koniokrady, zbóje i różnego rodzaju zawalidrogi, tego rodzaju, jak chrześcijański mob na gliniańskim szlaku. Tutaj mieszkał ów sławny zbój Dawid, zwany Konfederat; zebrał on całą bandę zbójów sobie podobnych w rodzaj konfederacyi i rozbijał przejezdnych na drodze ku Glinianom w lesie pod Biłką.

Tutaj też mieszkali owi słynni rozbijacze: Abraham Dankowicz i Heszel Juško, którzy byli postrachem przedmieścia i 2. maja 1591 r. do spółki z Ickiem z Lublina zamordowali w biały dzień żyda Szymona Salomonowicza“.

Oto obraz, który chyba w dzisiejszych czasach o jeden kilometr dalej należałoby przesunąć...



Ryc. 12. Stare domki w ulicy Zielonej l. 51 i 53, poprzedzielane wążutkami (dach środkowego dwa razy większy od domu).

(Rozehrane w jesieni r. 1909.)

Jak żyd z gminy miejskiej niechętnie idzie na przedmieście Krakowskie, chyba w handlowym interesie, tak samo robi to przeciętny mieszkaniec Lwowa. Tem się dzieje, że wielka część t. zw. „lepszey“ lwowskiej publiczności nie zna specyalnych właściwości tego przedmieścia, leżącego tuż pod bokiem śródmieścia, a tak bardzo dlań obcego. Charakterystyką tego przedmieścia było i jest przedewszystkiem lwowskie „Gheto“. Leży ono, jak mówiliśmy, tuż obok śródmieścia, a zna go doskonale przedewszystkiem ten *plebs*, który dla braku środków znajduje na t. zw. ulicy Smoczej (*nomen omen*) cały przyodziewek za tanie pieniądze.

Wszelkie rzeczy „przechodzone“, jakie handełesi skupują po różnych domach miasta i przedmieść, mają tu i miały swoje stacye zakupu i sprzedaży.

Niepoślednią rolę, jako artykuł sprzedaży, odgrywa tu obuwie stare, które sprzedający umieją w przedziwny sposób preparować, aby zakryć dziury i popękana skórę i nadać bucikowi pozór wcale jeszcze porządnie wyglądającego towaru.

Zwykle tak sprzedający tandeciarz, jak i kupujący, nie szczędzą sobie wcale komplementów przy transakcyach i często słyszeć można następujący dyalog:

— Ile dać za te buciki?

— Tak, aby sze długo ne targowacz — da panicz dwa ryńskie!

— Dam sześćdziesiąt centów.....

— Co paniczu gada! czy paniczu zwaryował — takie buczyki za sześćdziesiąt grejcary...

— Ouwa! za dwa ryńskie dostanę u Medlinga nowe.

— Nu niech paniczu idzie do Medlinga — co paniczu wie; te buczyki noszył ten hrabia od Jezuickie ulice — na moje sumienie.

Argument taki trafia zwykle do przekonania kupującego, który podwyższa cenę kupna do guldena, poczem przybicie dłonią świadczy, że targ ukończony.

W ten sposób zbywają się wszystkie artykuły.

Drugą specjalnością lwowskiego Gheta są t. zw. „Opałki“. Dzielą się one na dwie części. W pierwszej, na straganach rozłożonych nad brzegami już stanowczo w tem miejscu niewonnej Pełtwi, rozłożyli się przekupnie z różnorodnemi materyami na suknie i bielizną, chustkami i t. d. Tu zaopatrują się w materye przeważnie sługi i gospodynie z przedmieścia. Nikt tu nie pyta o markę fabryczną lub o modę; co jeno tanie, to dobre, byle ile możliwości jak najwięcej na cenie utargować — bo bieda po jednej i po drugiej stronie.

Druga część „Opałek“ obywa się bez straganów, towar bowiem nie opłaciłby kosztów lokalu i urządzenia.

Na rozciągniętej na bruku brudnej płachcie oko przechodnia znajdzie najróżnorodniejsze rupiecie, jakie handełesy na licytacyach po zmarłych zakupują. Za bezcen można tu

nabyć różnych przedmiotów galanteryjnych „przechodzo-nych” — jak nazywa przeciętny lwowski ludek.

Prócz tego zakupowane hurtem, wyszłe przed wielu laty z mody artykuły mają tu także swój rynek zbytu. I tak dostać można tuzin kołnierzyków i mankietów za 25 ct., albo parę rękawiczek fioletowych lub purpurowych za 10 ct., notabene skórkowych *glacé*.

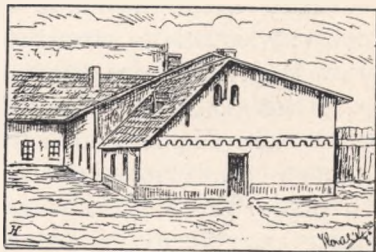
W zakamarkach domów tego Gheta nieobeznany zagubiłby się łatwo, a niewykluczonem jest spadnięcie gdzie ze spróchniałych schodów, lub wpadnięcie w dół kloaczny, pokryty przegniłą deską.

Niedługo przy sprzyjających warunkach runą zapewne brudne i cuchnące uliczki Gheta i ich miejsce zastąpią wówczas piękne stylowe fa-sady kamienic; toż i dzielnica ta przejdzie do historyi, gdzie mieć będzie wcale niepiękną kartę.

Dalszą, także dawniej tego przedmieścia specyalnością, to w popularnej gwarze zwana „pod sikawką” garkuchnia pod gołym niebem. Dłaczego nazywała się „pod sikawką”, to rzecz nader trudna do zba-dania i widocznie nazwa to czysto lokalna. Dziś w dobie roz-wijającej się czem raz więcej filantropii, kuchni ludowych i t. p. instytucyi, taka kuchnia pod gołym niebem byłaby czemś nie na miejscu. Inaczej było przed laty, bo ostatecznie zawsze byli na świecie biedacy, którzy mimo ciężkiej pracy nie mogli sobie pozwolić na droższe obiady, jak po kilka centów. Byli i są to tragarze, wodonosy, posługacze dzienni, ludzie czekający na jakikolwiek zarobek, nie przenoszący dziennie korony.

Na wschodniej stronie placu „Rybiego” dawniej, a dziś „Starego Rynku” widzieć było można codziennie około go-dziny 11. przed południem kobiety z ogromnymi tłumo-kami na plecach, dążące od strony Sieniawszczyzny.

Po chwili zajmowała każda swe miejsce na placu, pod-ścielała na bruku starą weretę, następnie z tłumoków uka-



Ryc. 13.

Dawny dom zajezdny w ulicy Zielonej górnej.

zywały się ogromne garnki z szarej gliny, poobwijane grubą warstwą szmat, aby jadło nie wystygło.

Obok tych garnków stawiała korpulentna traktyerniczka stos glinianych miseczek i kładła takież stos łyżek drewnianych, w szaflik duży naczepała wody z pobliskiej studni dla mycia misek, następnie siadłszy na stołku, dominującym nad garnkami, ujmywała warzachew w rękę, gotowa już do stoczenia codziennej kampanii z żołądkami proletaryuszy, niewybrednych ani w doborze, ani w smaku jadła i dbających jedynie o ilość. To też wzrok biedaków głodnych bardziej zapuszczał się w badanie głębokości miseczki, niż w jakość podawanej im potrawy.

Menu tej ruchomej traktyerni składało się zwyczajnie z czterech potraw: z barszczu, z kapuśniaku, z kartofli i z kaszy hreczanej, a w dni niedzielne lub świąt z pierogów: wszystko to okraszone wedle możliwości sadłem wieprzowem i względnie dość czysto przyrządzone.

Otóż p. „Marcinowa“ lub „Antoniowa“ czekała na gości. Po chwili poczynaty sznurkiem ciągnąć postacie w łachmanach, poobwiązywane sznurami, jedynymi narzędziami ich pracy. Każda z tych egzystencyi wtykała pani traktyernicze cztery centy w rękę.

Pani „Marcinowa“, popatrzywszy przedewszystkiem, czy „czwórak“ nie jest przypadkiem fałszywy lub starty, chowała go do skórzanego worka pod fartuchem, poczem zagłębiała warzachew raz i drugi, i po chwili podawała gościowi dwie miski dymiącego jadła. O stole i o nakryciu mowy naturalnie nie było.

Jeżeli gości było dwu lub trzech tylko, pani traktyerniczka miała ich jeszcze na czem posadzić, jeżeli natomiast więcej o jednej porze przyszło, bruk zastępował stół i krzesło. Gość siadał z turecka na ziemi i zmiatał obiad, aż mu się — jak to powiadają — uszy trzęsły. Panie traktyernice, mimo bajecznie taniej ceny obiadów, dochodziły prawie zawsze do grosza, uciulanego na czarną godzinę.

Wielce oryginalną jeszcze specyalnością tego przedmieścia, i to już poza rogatką, na terytoryum gminy Zniesienia są w całym tego słowa znaczeniu ludowe kąpiele, ba, nawet *sui generis* lecznicze zakłady, od tak dawna istniejące, jak dawno rafinują wódkę za Żółkiewską rogatką, a więc

mniej więcej od lat 120! Ładny to czas, nieprawdaż, a nie się ani na jotę tam nie zmieniło w tych ludowych kąpielach.

Kiedy przekroczyłeś łaskawy czytelniku rogatkę żółkiewską i puścisz się kilkadziesiąt kroków dalej po wybojach leżącego tuż za rogatką Zniesienia, uderzy cię z pewnością przybity na dwu słupach szyld czerwony lub niebieski, z wymalowaną w najprymitywniejszy sposób wanną drewnianą i siarczysty napis „Kompriel lótrynkowe“ (dosłownie), to znaczy, że się znajdujesz u wrót w całym tego słowa znaczeniu „ludowego“ zakładu kąpielowego.

Jeżeli żyłka obserwacyjna powiedzie cię do wnętrza, musisz przejść przez obszerny dziedziniec, przeskakując przez niezliczone kupy gnoju i śmieci, zanim dostaniesz się do przybytku, skąd uderzy cię w nos nieznośna woń „fuzlu“ wódeczanego. Znajdujesz się w lutryнку, zakładzie, przeznaczonym do lutrowania, czyli oczyszczania wódki pitnej.

Ze względu na znaczną ilość wody gorącej, zbywającej przy oczyszczaniu wódki, pozakładali przemysłni żydkowie przy lutrynkach wanienne zakłady kąpielowe, w których lud prosty biedniejszy, za opłatą dziesięciu centów zażywa kąpeli.

Leczniczą ingrediencją w kąpielach tych, mającą ustaloną między ludem prostym reputację jest anyż, pozostały z przelutrowania wódki. Dwie lub trzy konewki tej przegotowanej substancji, wlanej do kąpeli, mają być cudownym lekiem przeciw wielu chorobom, i w wypadkach wymagających kuracyi ściągającej mogą być lekiem istotnie cudownym.

Pozostawmy jednak panom medykom i biegłym bliższe zastanawianie się nad leczniczą stroną lutrynków — których była dawniej, nawiasem mówiąc, dość spora liczba za rogatką — a odwróćmy medal.

Pominąwszy już wszelkie wymogi sanitarne, jakie nie mają najmniejszego zastosowania w tych ludowych zakładach kąpielowych, oraz brud, z jakim mogłyby tylko walczyć o lepsze żydowskie „mikwy“ małomiasteczkowe, moralna strona ludu cierpi ogromnie skutkiem tych zakładów.

Niema prawie domu za rogatką żółkiewską, gdzieby nie było szynku, odznaczającego się sprzedażą mocnej a taniej wódki.

Otóż biedak idąc do lutryнку celem wzmocnienia ciała, trapionego jakim niedomaganiem, nie ma po kąpieli nic lepszego do roboty, jak upić się porządnie — i to jest właśnie fatalna strona tych kąpiei i kuracyi ludowej...

Powiedzieliśmy, że przedmieście Krakowskie gremialnie i gęsto przeważnie jest i było przez żydów zaludnione. Nie idzie za tem, aby i ci ludzie, żyjąc od wieków handlem i ciężką pracą około zdobycia pieniędzy, nie tęsknili przynajmniej raz w roku do świeżego powietrza. Ale ponieważ dzieci Izraela i pod tym względem są praktyczni, więc żydowscy przedmieszczanie szukają wilegiatury w najbliższym swem sąsiedztwie, a więc za rogatką zamarstynowską, lub w graniczącym ze Zamarstynowem Hołósku. Tym sposobem dzieje się, że letnią ludność Zamarstynowa składają żony kupców *minorum gentium* z Krakowskiego lub Żółkiewskiego przedmieścia, buchalterów i starszych subiektów, i wogóle średnio zamożnych żydów przedmiejskich.

O komforcie, ewentualnie jakiegokolwiek wygodzie, mowy tu być nie może. Familie żydowskie, złożone często z sześciorga osób, duszą się często w ciasnych chałupach chłopskich, kilka bowiem domów porządniejszych nie wystarczy na pomieszczenie wszystkich „letników“.

Całe tedy używanie owego „świeżego“ powietrza ogranicza się na siedzeniu całemi godzinami przed domem żydowskiej płci pięknej w najniemożliwszym negliżu z powodu gorąca, lub chodzeniu ociężałym krokiem po skraju lasu.

Sytuacja zmienia się tylko przez dwa dni w tygodniu, mianowicie w wieczór szabasowy, kiedy każdy „kupiec“ po trudach całego tygodnia spieszy na łono używającej powietrza rodziny dla zjedzenia „kugła“, oraz w niedzielę, kiedy wszyscy handlujący czemkolwiek mężowie, przymuszeni odpoczynkiem niedzielnym, nie mają co robić w mieście. Zamarstynów robił i robi wrażenie stacyi klimatycznej. Tylko zamiast kurhauzu, wznosi się przed oczyma „letnika“ obdarta karczma, w której oprócz połamanej huśtawki i najprymitywniejszej kręgielni, żadnej innej zabawy nie znajdziesz.

Przed karczmą plac dla spaceru, zastępujący w chwilach wolnych pastwisko dla krów, koni i t. d.

W niedzielę także i las Hołoska roi się od gruchających par; na gościńcu prowadzącym przez wieś, lub po pastwisku ujrzyć można uganiających na oklep na chłopskiej szkapie elegantów, dodających bodźca piętami hołoskiej Rosynancie. Niekiedy patrząc na takiego sportsmena, stracisz go na chwilę z oczu, jakby w niego piorun trzasnął; tylko tuman kurzu wskazuje ci miejsce, gdzie koń zrzucił z siebie niepotrzebny ciężar.

Takie i tym podobne rozrywki, jak łapanie ryb na wędkę w stawie, gdzie oprócz żab żadna istota rybia nie wieńczy łowów pomyślnym skutkiem, wypełniały czas leśnikom, niewiele zresztą wymagającym od przyrody — matki.

Na tem możemy spokojnie skończyć szkic o przedmieściach lwowskich, takich, jakie one były przed pół wiekiem i jakimi we wielu szczegółach do dziś dnia jeszcze pozostały.

VI.

Ogródki dawnego Lwowa.

W czasie, gdy stary gród Lwa był miastem zamkniętem murami i gdy po dzwonieniu wieczorem na „Anioł Pański“ bramy i furty miejskie zamykano, nie było zwyczajem mieszczan chodzić między łyczków przedmiejskich pod wiechy, gdzie piwo i gorzałkę w przedmiejskich karczmach szynkowano. W samem mieście były bowiem piwnice i browary, gdzie sławetni wieczorami po pracy przesiadywali, o ile który, ceniąc nadewszystko życie domowe, przy swoim własnem ognisku nie siadał nad gąsiorem miodu, albo dzbanem piwa.

Obyczaj ogródków restauracyjnych przyszedł do nas z Zachodu, wraz z urzędnikami Niemcami, którzy Galicyę, nowo oderwaną od macierzy Polski, przyszli na swój sposób cywilizować. Nie upłynęło pół wieku, a zwyczaj ten, jak i wiele innych niemieckich, tak się u nas zaaklimatyzował, że jak grzyby po deszczu powyrastały rozmaite, mniej lub więcej od śródmieścia oddalone miejsca zabawy towarzyskiej, gdzie i pogwarzyć było można z przyjaciółmi i znajomymi i wypić na frasunek jeden lub drugi kufelek. I tak nie tylko miejska intelligencya, ale i ludek przedmiejski, ciężką pracą zajęty cały tydzień przy ziemi lub w warsztatach, kupił się w niedzielę i święta w ogródkach przedmiejskich, których lat temu ze cztery dziesiątki było jeszcze sporo, a wszystkie oczywiście w rękach chrześcijańskich i każde przedmieście miało je dla siebie. Niema ich już obecnie, a miejsce ich zajęły bądźto szeregi kamienic, zastępując dawne, cieniste drzewa, bądź wille prywatne, ładne,

ale pozbawione tego uroku na pół dzikiej przyrody, która i z miasta ściągała mnogie rzesze ze świata urzędniczego i mieszczańskiego, a chcącego wytchnąć po pracy i napełnić płuca świeżem powietrzem. To nawet, co dziś z przyzwyczajenia nazywamy przedmieściem, nie jest niem w ścisłem tego słowa znaczeniu, a właściwe przedmieścia, poza rogatkami się już rozciągające, nie mają ani w części tej cechy odrębnej, jaką miały dawne w obrębie rogatek. Nie zmieniło jedynie swej fizyognomii Żółkiewskie i tz. zabawy „za drągiem“, gdzie zamiast się bawić, plebs lwowski zapija się na umor w zadusznych i smrodliwych spelunkach, gdzie występki, a niekiedy i zbrodnia stały sobie obrały przystulek.

Ponieważ prym pomiędzy przedmieszczanami zawsze trzymał Łyczaków, więc jemu i w tem wspomnieniu należy się pierwsze miejsce. Cywilizacya kończyła się tam równo z kościołem św. Antoniego; dotąd też wieczorami wolno było się bezkarnie zapuszczać lowelasom miejskim, polującym na amory przedmiejskich dziewoi. Od tej też okolicy ciągnął się szereg ogródków, gdzie się bawiło przedmieście stale, a przygodnie i mieszcuchy. Były więc ogródki w browarze Hubnera „Pod gołąbkami“, „u Otawichy“, „Kijaka“, i w dziś jeszcze istniejącym „Hotelu de Laus“. W owe czasy odchodziło tam głównie piwo winnickie i „plucery“ w kamionkach.

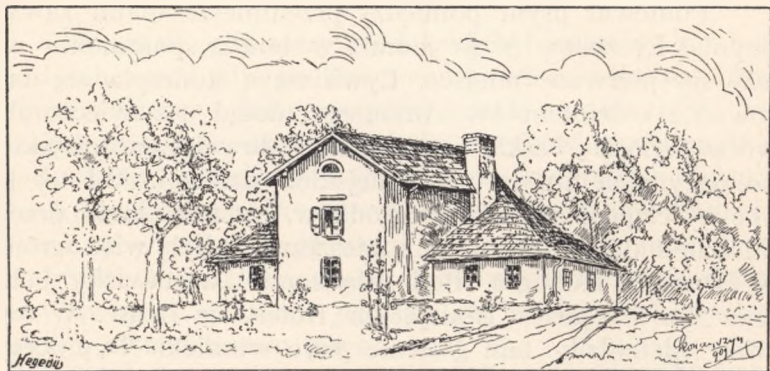
Dla zabawy służyła kręgielnia i huśtawki. Ludziskom to najzupełniej starczyło... Ostatni ogródek był u Weissmana już za rogatką na drodze gliniańskiej. W najbliższem sąsiedztwie Łyczakowa, a więc na „Rurach“ (dziś ul. Kochanowskiego), prócz starej i tradycyi pełnej Pohulanki, za *tusculum* przedmieszczan służył ogródek Makolondry.

Zielone przedmieście, odkąd przestało być jednym z głównych traktów, podupadło zupełnie; mieszkali na niem biedacy, którym nie w myśli było bawić się. Nie było tam też i ogródków. Pod tym względem szczęśliwsze było Stryjskie. Były więc ogródki na uroczej „Żelaznej wodzie“ i na Zosiówce u Cieślewiczów i Jaworskiego, nie licząc kilku mniejszych, prawie niedostępnych dla intelligencji z miasta. Wreszcie też nie tyle spirytuożów sprzedawano, ile nabiātu świeżego i niefałszowanego, o jakim dziś nie mają wyobra-

żenia terazniejsi gospodarze ogródkowi wyznania moższowego.

Nad jednym z takich małych miejsc zabawy, w okolicy dzisiejszej Stillerówki, wyobrażoną była na szyldzie „Opatrzność“ jako godło ogródkowej szynkowni, a pod nią napis: „Ja żyję z Boskiej Opatrzności, niech Bóg da temu, co mi zazdrości“. Jakże to pięknie wyrażone nieobawianie się konkurencyi!...

Po drugiej stronie miasta także bujnie rozrastały się ogródki i miejsca zabawy. W górze ulicy Szerokiej (dziś Kopernika) słynnym był ogród Prochaski, przy browarze tegoż samego właściciela, a jeszcze dalej na Wulce t. zw.



Iluc. 14. Typowy dworek przedmiejski w ogrodzie, z ganeczkiem (front).

(Ul. Zybkikiewicza 1. 8.)

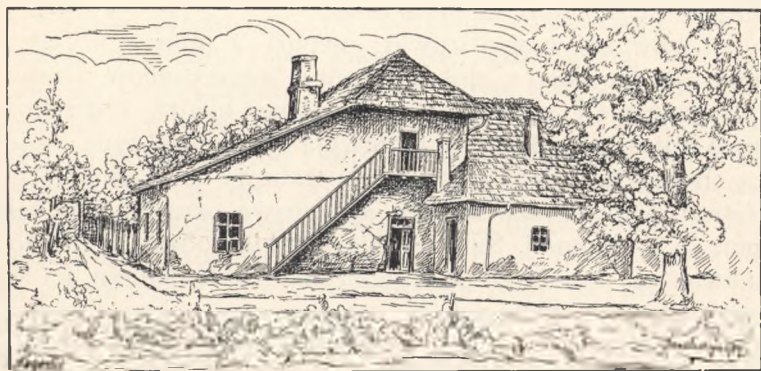
„Kasyno panięskie“. Do tej samej kategorii ogródków zaliczyć należałoby i t. zw. „Hühnergarten“ w dzisiejszej ulicy Gołębiej i Kaleczej, gdzie stoi willa Zacisze.

Ulica Gródecka miała jeden tylko, ale bardzo ładny ogródek „pod różą“, w miejscu, gdzie dziś stoi szereg kamienic, ulicę Bartosza Głowackiego tworzących.

Najsilniej jednak kupił się ludek lwowski około Wysokiego Zamku i to z każdej jego strony. Prawie na stokach góry od strony ulicy Zamkowej był ogród niejakiego Florka, duży i ładny, z drzewami starością równemi całemu zadrzewieniu Góry Zamkowej. Tu oprócz zwyczajnej huśtawki, była i „rosyjska“, sięgająca na kilkanaście

łokci w górę i olbrzymi karuzel z końmi na łańcuchach, — oczywiście drewnianymi. W niedziele i święta roіło się tam od dzieci małych i wielkich, za dwa centy przejeżdżających się „na koniach“. Ogródek ten podupadł, gdy raz na huśtawce rosyjskiej zdarzyło się nieszczęście, że dwie osoby wypadły i śmiertelnie się potłukły; zrobił mu wkońcu konkurencyę karuzel na Wysokim Zamku. Dziś już i śladu nie ma z ogródka Florka; pozostały tylko drzewa stuletnie może.

Na innym stoku Zamkowej Góry, koło zabudowań browaru Kisielki, dziś jeszcze stoi obszerna szopa, z dachem na słupach opartym. W niej w niedziele do późnej nocy



Ryc. 15. Typowy dworek przedmiejski w ogrodzie, z ganeczkiem (łył).

(Ul. Zyblikiewicza l. 8.)

rzępoliła hałaśliwie muzyka, a taneczne pary, ze sług i żołnierzy przeważnie złożone, cięty hołubca, aż grzmiało. Ile tam głów rozbito, ile żeber połamano, ile podarto sukien na tanecznicach, kto zliczy i kto wyśpiewa!

Dziś sterczy szopa tylko, służąca za schronisko rycerzom mgły z zarośli Góry Zamkowej, jako wspomnienie wesołych chwil.....

Także pod Zamkiem, ale od strony ulicy Teatyńskiej, gdzie była realność Jägermana, było drugie miejsce, zwane szumnie „salą do tańca“. Takie same, jak i po tamtej stronie góry odbywały się tu zabawy i tak samo smutnie się kończyły. Parowy, których miejsce zajęły plantacye, wiodące na Ko-

piec Unii lubelskiej, były świadkami niejednej zbrodni, w cieniach nocy spełnionej.

Zupełnie już blisko miasta, bo w ulicy Kurkowej, gdzie dziś nr. 7. i 9. był ogródek ze salą do tańca niejakiego Türra. Lat temu wiele dziesiątek nazywali go Niemcy „Veteranische Höhle“, a to z tej racji, że jeden z kulturträgerów Veterani zainstalował tam kasyno dla oficerów i beamteryi lwowskiej. Z upadkiem niemieckości we Lwowie upadła i „Jaskinia Weteraniego“ i zeszała na ordynarną żołnierską „tancbudę“, gdzie co niedzieli wycinali hopki dzielni madyarzy i dziewczki służebne. *Sic transit...*

Dziś to wszystko poznikało; miejsca ogródków dawnych zajęły modne ogródki z „rakami kamiennymi“, szansonistkami lub innymi hecarzami.

Lwów się ucywilizował; wyparł z miasta to, co za mało europejskie, a dobry humor mieszkańców Lwowa, tych uboższych, ustąpił miejsca ogólnej biedzie i strachowi przed mikrobami, którymi zatruwają hygieniści każdą jaśniejszą chwilę ludkowi, pragnącemu zabawy na świeżem powietrzu. Nowoczesne miejsca spacerowe przestały być tem, czem były dawniej. Są one dziś jedynie rodzajem salonów na świeżem powietrzu pod niebieskiem sklepieniem, dla wystawy strojów, flirtu i t. p. wzajemnego okłamywania się towarzyskiego. A wobec tych nowych prądów anachronizmem są ogródki z sielską poezją, sielskim nabiałem i powrotem do miasta po wyboistej drodze wśród kurzu, na który nikt nie zważał.

VII.

Galerya zaginionych lwowskich oryginałów.

Każde miasto ma swe odrębne właściwości, ma też i swoje oryginalne typy, jakich się gdzieindziej nie znajdzie; ma swe rozmaite figury brukowe, tak popularne z biegiem lat, że sława ich — *sui generis* — nie tylko z pokolenia na pokolenie, ale i do tradycji przejdzie, a nawet niekiedy sięgnie daleko i poza rogatki danego grodu. Bywają też między takimi osobnikami istoty, przez naturę i życie upośledzone, które losy przeznaczyły w ich okropnej doli na pośmiewisko, lub w najlepszym razie na zabawę drugich ludzi — normalnych. Prawda, że im więcej cywilizacya wnika w najniższe nawet warstwy ludności, tem więcej z oczu publicznych znikają owe figury brukowe. Bywa i tak, bo być tak musi, że od czasu do czasu znika z naszych oczu typ brukowy, do którego przyzwyczailiśmy się tak, jak do codziennych upodobań, a że nas te typy nieraz i ubawiły i zajęły i uweseliły, choćby na chwilę, więc nieraz wspomni się o nich przy danej sposobności. Jest to dla takich nieszczęśliwców jedyne wspomnienie, bo najczęściej żaden krzyżyk nie oznacza grobu tych ludzi, którzy przeszli przez życie ciężkie... bawiąc sobą drugich.

Kilkanaście takich figur typowych przesunęło się na bruku lwowskim przed naszymi oczyma w przeciągu ostatnich lat czterdziestu. Ponieważ ostatni tego rodzaju „Mohikanin“, popularnie „Durnym Jasiem“ zwany, skończył swe dni w zakładzie miejskim dla nieuleczalnych, nie będzie od rzeczy, gdy zapoznamy kolejno młode pokolenie Lwowian z tymi, którzy już zniknęli z widowni życia i bruku.

1. Łucyk.

Pierwsze miejsce w tej galerii typów oryginalnych należy się bez zaprzeczenia temu, który do pewnego stopnia diogenesowską manierą bawił Lwów w latach sześćdziesiątych i siedmdziesiątych. Był to Jan Łucyk. Nizki, krępy, z gęstą brodą, o fizyognomii, z jaką spotykamy się na ikonach bizantyńskiej szkoły, z chodem rozkołysanym, był postacią już samo przez się charakterystyczną. Przeszłości jego nikt dobrze nie znał; wiadomo, że był synem ruskiego księdza gdzieś na Podolu. We Lwowie zjawił się na widowni jako uczeń szkoły medyczno-chirurgicznej, zastępującej ongi w części wydział lekarski przy uniwersytecie lwowskim i wydającej ukończonym frekwentantom dyplomy magistrów lub patronów chirurgii.

Łucyk szkoły tej nie ukończył, ale nie mogąc być lekarzem, został mimo to — szarlatanem. Oczywiście odpowiednio do zawodu szarlatanckiego trzeba mu było zmienić powierzchowność. Zmienił ją też. Do ubrania poprzyczepiał sobie jakieś mistyczne gwiazdy i koła mosiężne posrebrzane; na sobie przewiesił zarękawek futrzany, a w nim nosił, Bóg wie skąd wziętego węża grzechotnika. Dla uzupełnienia tego stroju, ze szyi zwieszał się Łucykowi naszyjnik, złożony z pryzmatycznych szkiełek od kościelnego pająka.

Niekiedy dla większej oryginalności niósł w rękę zaświeconą w biały dzień latarnię, a zapytany czemu to czyni, odpowiadał po diogenesowsku: „szukam człowieka“.

Takiem oryginalnem *exterieur* nie tylko na przedmieściu, gdzie mieszkał, ale i w mieście zaciekawiał ludzi. W najbliższem też otoczeniu począł uchodzić za bardzo zdolnego lekarza, a później między ludem prostym miano go nawet za „powagę lekarską“, bo nie przepisywał pacjentom dyety, pigułki zaś uniwersalne, własnego wyrobu, któremi leczył wszystkie choroby, nakazywał stale — popijać kieliszkiem wódki.

Ten system leczenia miał nawet bardzo wielu zwolenników, a Łucykowi, acz niebardzo wielkie, ale do utrzymania dość wystarczające przynosił dochody.

Bywały jednak chwile i czasy, gdy szarlatan zbyt się przejmował swą rolą i popadał w konflikty z policją

Przy jednym z takich konfliktów uznano go niepoczytalnym umysłowo i odesłano na oddział dla obłąkanych do Pijarów. Tam przybywszy, począł — jak sam opowiadał — aby doprawdy nie zwaryować — udawać waryata. W sali, gdzie go umieszczono, sporządził ołtarzyk i począł odprawiać przy nim nabożeństwo dla waryatów...

Psychiatrzy niebawem poznali się, że Łucyk nie jest waryatem, a przynajmniej nie niebezpiecznym.

Wypuszczono go tedy na wolność, ale leczenia surowo zabroniono, zwłaszcza za pieniądze. Mimo to leczył dalej ciemny lud przedmiejski uniwersalnymi pigułkami. Bywało, że i ktoś z intelligencji, któremu lekarze dyplomowani nie pomódz już nie mogli, udawał się do Łucyka o poradę. Pomogła kuracya, czy nie pomogła, mniejszą o to, dość, że chory umarł w tem przeświadczeniu, iż jeżeli mu Łucyk nie pomógł, to widocznie śmierć była mu pisana...

Z biegiem lat Łucyk utemperował się, a nawet się ożenił. Do ożenku pomogła mu jego umiejętność „lekarska“. Pewnego razu wezwano go do ciężko chorej wdowy, mającej córkę ułomną. Stanąwszy u łóża chorej, Łucyk pokręcił głową, zbadał chorą i oświadczył, że nie ma wielkiej nadziei (to samo mówili i inni lekarze), ale zajmie się leczeniem chorej pod warunkiem, że mu stara da córkę za żonę. Propozycja została przyjętą, tem bardziej, że wymaganie nie było tak wielkie, zwłaszcza, iż mocno w latach zaawansowana panna i do tego ułomna, nie spodziewała się nigdy wyjść za mąż. Jakoż Łucyk zajął się chorą i uleczył ją, poczem w myśl umowy, ożenił się z panną.

Na ślub, który odbył się w parafii św. Mikołaja, wylęgły tłumy ciekawych, bo było to przecie sensacją dnia. Charakterystyczny był moment, gdy Łucyk składał przysięgę. Na zapytanie kapłana, czy ma dobrą a nieprzymuszoną wolę tę, którą przed sobą widzi, pojąć za małżonkę, odparł pan młody podniesionym głosem: „Gdybym nie miał, tobym nie brał!“ W świątyni, mimo świętości miejsca, wybuchnął na te słowa śmiech homeryczny....

Łucyk się ożenił — i odmienił się — o tyle, że porzucił dawną oryginalność szarlatana, a wziął się do gospodarki. W tym czasie odziedziczył mały folwarczek i na jakiś

czas zniknął ze Lwowa. Po latach zjawił się znowu, osiadł gdzieś na dalekiem przedmieściu i leczył znowu uniwersalnymi pigułkami. Jeszcze przed kilkunastu laty widziano go jako wiekiem przygniecionego już, ale zawsze o żywych ruchach starca, z pogodnie uśmiechniętem obliczem i łubianą ko-białką, przez plecy przewieszoną, jak spieszył ku miastu po zakup tego, co mu było potrzebne.

2. Baronek.

Lat temu parę dziesiątek nie koncentrowało się życie Lwowa tak, jak dziś, na placu Maryackim; Rynek jeszcze trzymał prym wtedy przed placami miejskimi, dzisiejszy zaś plac Maryacki, jako ówczesny „plac Ferdynanda“, nie był też tem, czem jest obecnie. Nie raziło to wówczas nikogo, że w miejscu, gdzie dziś kamienica, w której sklep Seyfartha i Dydyńskiego, był zwyczajny „drewniany“ parkan, okalający pracownię kamieniarską, a lewy róg ulicy Akademickiej „ozdabiał“ nad brzegiem niezakrytej Pełtwi stojący wśród śmiecia i kału obdarty i stary „Hotel pod tygrysem“ w miłym a niedalekiem sąsiedztwie areштów w ulicy Krzywej. Na prawym rogu ulicy Akademickiej i placu Ferdynanda stał, jak i dziś stoi, lecz innej niż dziś struktury „Hotel George“, zwany także, jak to ówczesna tablica wskazywała, „Hotel de Russie“. Za najbliższego sąsiada miał pierwszorzędny ten hotel w Brunickich kamienicy, frontem do placu, kasyno fiakierskie, *alias* szynk „pod góralem“.

Na narożniku tedy chodnika od ulicy Krętej widzieć było można codziennie od wczesnego ranka do wieczora stojącą nieruchomo postać, wielce charakterystyczną, nazywaną popularnie przez lwowski ludek „baronkiem“.

Jak się ów baronek nazywał, mniejsza o to. *Nomina sunt odiosa*; żyje zresztą wiele jeszcze szanownych tej rodziny członków lub imienników, dla którychby wymienianie nazwiska dziwaka nie było požądaniem, ani przyjemnem.

Oto jak ów „baronek“ wyglądał: Wzrostu mniej niż średniego, kadłub miał okrągły jak kula, na nogach cienkich osadzony. Głowa duża, łysawa, twarz jakby nalana,

obciągnięta skórą barwy starego pergaminu; oczy rybie z wyrazem bezmyślności, najczęściej przymknięte, lub zmrużone. Postać ta, ubrana w wypłowiały, niegdyś granatowy płaszcz bandycki, do kolan sięgający, w kapeluszu okrągłym, stać potrafiła nieruchomo całymi godzinami, dotrzymując w ten sposób towarzyswa oswojonemu bocianowi marabutowi, który zajmował miejsce stale po drugiej stronie hotelu, na krawędzi chodnika od ulicy Akademickiej. Jakby dla symetrii, pocziwy marabut także z zamkniętymi oczyma, a na jednej nodze, stać umiał godzinami, i tak te dwie figury niły stróżowały koło hotelu Żorża.

Kto był baronek? Za młodych lat miał majątek ziemski, podobno dość znaczny. Przehulał go prawdziwie po kawalersku, to jest: co do grosza. Baronem niegdyś z wdzięczności za sypane na lewo i prawo pieniądze nazwali go kelnerzy, portyerzy hotelowi za granicą i w kraju; tytuł barona dały mu i kokoty i towarzysze od zielonego stolika, w których gronie czas drogi, pieniądze i zdrowie a więcej jeszcze — wstyd tracił. Przy takim życiu i rozum wkońcu zaszwankować musiał, a wkońcu niedopisała samowiedza. Zasoby się wyczerpały, zniknął tytuł barona, a pozostało jako wspomnienie lepszych a marnie straconych dni — nieco stosunków z dawnych lat. Pracy baronek się niejął, bo go jej nie nauczono.



Ryc. 16. Baronek.

Wstyd dawno przeszedł wraz z pieniędzmi, ale można było, choć z daleka, dawne zużytkować znajomości. Hotel Żorża był od lat głównym stanowiskiem bogatej szlachty i obywatelstwa; do dobrego tonu należało „zajechać do Żorża“. Przejezdni panowie mają zwykle przeróżne interesy, czasem natury delikatnej, do których albo nie można było, albo nie wypadało używać faktora, albo „lohn-dienera“ hotelowego. Sprytnie to pojmował „baronek“, że może być przecie na coś użyteczny i nie umrzeć z głodu.

A no! znano go w hotelu z lepszych czasów... nie broniono mu kąta i posady nadetatowej.

Legitymacyi baronek nie potrzebował; znano go. Ten i ów „szlagon“ lub „pan“ wetknął parę szóstek lub guldena; — kochany baronku... idź tam lub tam — albo: „zrób mi to, a to...“ — Baronek, milczący jak grób, szedł i zrobił... a dyskretnym być umiał. W interesach sumienny i pilny, w wolnych chwilach, to znaczy, gdy nie miał „roboty“ a czuł grosze przy sobie, znikał „pod góralem“, gdzie pił tak długo w „singeltona“, póki nie przepił tego, co zarobił, albo nie usnął. Jeżeli zarobek dzienny był większy, baronek wspominał sobie dawne czasy i puszczał się po kawiarenkach, gdzie milczący jak zwykle, stawał w kącie i „kibicował“ przy kartach lub bilardzie. Dawano mu cygara, albo i niedopałki — brał — i pił też, co mu dano. Po całej tak spędzonej nocy, spał stojąc przed hotelem na ulubionym rogu.

„Pod góralem“ atoli było mu wygodniej i bardziej swojsko. Dawny baron, choć jedynie „tytularny“, wywierał zawsze pewien urok na towarzystwo, złożone z posługaczy i fiaków.

Byli tam i tacy jeszcze, którzy mu niegdyś służyli... Pamiętano tam na to i do pewnego stopnia go honorowano. Oczywiście, trwało to tak długo, póki, zwłaszcza w dniach zimnych, wódka lub „halby“ piwa nie rozgrzały zbytnio głów automedonów z placu Ferdynanda. Baronek pił z nimi, choć oni fundowali; o to się nie obrażał. Kiedy jednak który pozwolił sobie na grubszy żart *a propos* dawnego wystawnego i hulaszczego życia baronka, w rybach i przygasłych żenicach upadłego barona błyskała dawna duma. Wstawał od stołu i nie powiedziawszy słowa, lub ledwie mruknąwszy gniewliwie, wynosił się z szynkowni i zajmował zwyczajne swe miejsce na rogu, skąd z miną obrażonego hidalga rzucał ukośne spojrzenia „pod górala“.

Pewnego dnia zniknął z rogu ulicy Krętej. Poszedł chory do szpitala, skąd już nie wyszedł. Tam umarł, a pochowano go podobno jako „golca“, bo nikt ze znajomych nie zgłosił się celem uczciwego pogrzebania. Biedny baronek!

3. Słoń.

Odmienneą od tamtych, figurą oryginalną był „Słoń“, którego starsze pokolenie Lwowian pamięta żywym; młodsze zna go tylko ze sylwetek, które temu „Słoniowi“ poświęcili w swoim czasie Gawalewicz i Wilczyński.

Opisali oni „Słonia“ tak wyczerpująco i wszechstronnie, że musiałbym chyba to powtarzać, co ci dwaj pisarze podali. Dodam jedynie, że ów nieszczęsny „Słoń“ winien być po wszystkie czasy przykładem odstrasającym dla matek, wychowujących pieszczonych gagatków i kierujących się względem dziatwy tak zwaną „małpią miłością“.

Przejdę teraz do osobników inteligentnych, którym koleje losu pomieszały rozum w głowie. Nie będę się zagłębiał w zagadnienia psychologiczne, dlaczego ci ludzie się rozpili (a zboczenie ich umysłowe stanowczo na tle alkoholicznem występowało), bo opilstwo to było u nich nie przyczyną, lecz skutkiem, że się tak wyrażę... Przyczyny właściwe leżały głębiej.

4. Doktor.

Pierwszym z tych oryginałów był „doktor“. Ze sfer lepszych Lwowa mało go znał i niewielu też może pamięta tę figurę, dość charakterystyczną. Stałą siedzibą „doktora“ był plac Gołuchowskich, a jeszcze ściślej biorąc, narożnik ulicy Furmańskiej. Od całej zgrai podpasanych sznurami tragarzy i posługaczy wyróżniał się „doktor“ chyba tem, że nie obwiązywał nóg szmatami, lecz jakie takie nosił obuwie, a podartą garderobę swą ozdabiał tombakowym łańcuszkiem, oczywiście bez zegarka. Spokojny, milczący, gdy podpił sobie, potrafił całemi godzinami do siebie gadać po niemiecku, z przymieszką żargonu żydowskiego, a wtedy stawał się pośmiewiskiem żydziaków, setkami — zwłaszcza latem — zalegających plac Gołuchowskich.

Niegdyś, za dobrych, młodych czasów, był „doktor“ naprawdę wojskowym lekarzem. Przeżył dwie nawet podobno kampanie wojenne szczęśliwie — uległ w trzeciej — z własną żoną. Ze złą kobietą nie wytrzymał wojny: zdradziła go i zwichnęła mu życie. Za słaby, aby się od razu pozbyć niewiernej żony, cierpiał czas jakiś, potem począł pić z rozpacz i tem samem uchybiać swoim obowiązkom i powołaniu. Trwało to lat parę; żona wkońcu uciekła i to dopełniło miary u nieszczęsnego. Napędzono go z wojska, jako cywilny praktyki nie znalazł, zresztą co zarobił, to przepił. Tak staczał się coraz niżej i niżej, aż zeszedł już na to, że pisał recepty i leczył po szóście, a nawet taniej, żądny pomocy proletaryat. Wreszcie i to ustało i musiał żyć z jałmużny. Pijąc bez opamiętania, dostawał czemraz częściej pijackiego delirium, aż nagła śmierć z udaru mózgowego przecięła pasmo żywota „doktora“ na rogu, gdzie mieścił się jego ulubiony szynk.

5. Profesor.

Analogiczną do pewnego stopnia figurą brukową był „profesor“ lub „filozof“, bo i tak go zwano niekiedy. Znało go wielu, starsi nawet jeszcze jako suplenta gimnazjalnego. Widywano go nieraz po Wąłach lub na Zamku, jak z książką w ręku deklamował poetów, lub głośno odczytywał autorów łacińskich. Przebywał najczęściej w towarzystwie młodzieży, którą lubił i której chętnie za skromny poczęstunek wyrabiał, lub wyrabiać pomagał trudniejsze pensa. Bywało, w chwilach owych przejmował się dawną rolą profesora i karmił surowo zarzutem nieuctwa lub nierozumienia go w wykładzie, nie bacząc na to, że strofuje tego, co mu obiadek lub kolację zapłacił.

Biedny to bardzo i szczupły był ten zarobek „profesora“, — a w nieporządnem życiu swem nie baczył na to, że z latami i z postępem „jaja bywają mędrsze od kury“ i przyszło na to, że gimnazjaliści nie mieli z czem przychodzić do niego, bo im nic już pomódz nie mógł. „Profesor“ tedy przeniósł się na mniej wymagające przedmieście tam dzieci rzeźników i krupiarzy wtajemniczał w tajniki

wielkiego i małego abecadła. Przez jakiś czas sława jego brzmiała pod rogatkami, bo prócz nauczania, pisywał wiersze na rodzinne uroczystości przedmieszczan. Jakoż pod tym względem nie brakło mu roboty. Młody adept szlachetnego kunsztu „musata“ i noża, gdy chciał od razu ugodzić strzałą amora w serce rumianej jak piwonii dziewczyny, jak w dym biegł do „profesora“, brał go do szynku i tam po dwu lub trzech kieliszkach, spływał na papier z ołówka filzofa taki na przykład czterowiersz:

„Skryte ach! są myśli moje,
Ale trafiają w serce twoje.
Nie bądź srogą ma Kasieńko,
I obdarz mnie swoją ręką“.

I któraż Kasia lub Poldzia (rym oczywiście był odpowiedni) mogła się oprzeć takim zaklęciom?... Na zaręczyny miał profesor gotowy toast honorowy:

„Piję zdrowie tej dziewczyny,
Której dziś są zaręczyny“.

Aplauz podochoconych gości był nagrodą dla „poety“ a zarazem zachętą do toastu weselnego, w tym mniej więcej guście znowu:

„Takie zdrowie pić się godzi!
Niechaj żyją państwo młodzi“...

Profesor lubił pić, lubił się bawić, bo bez niego, nawiasem mówiąc, nie odbyła się na przedmieściu zabawa, jak nie rozumiano na rycerskich dworach uczt bez minstrelów; nie lubił jednak, gdy go ktoś zagadał, — bo i to bywało, — czy miał żonę. Wspomnienie takie psuło mu zabawę, jakby ręką odjął. Więcej nawet, bo wiele dni upływało, nim przyszedł do równowagi. Profesor, jak łatwo zgadnąć, padł także niegdyś ofiarą niewiary kobiecej. —

„*Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu;
und wem sie just passiert, dem bricht das Herz entzwei*“ — powiada poeta. I z profesorem była ta sama stara historia. Złamała mu serce kobieta, uciekła z drugim, a jemu zosta-

wiła puste wystygłe gniazdko, gdy pewnego wieczora przyszedł z lekcji do domu. Ból, rozpacz, a potem reakcja i pocieszenie w kieliszku i szklance — i pośmiewisko pauprów, lub rubasznym ludzi prostych, którzy nie odczuwają bólu serdecznego, a lubią się bawić nieszczęściem drugich... oto rezultat. Umarł w szpitalu, a pochowała go „Arymatea“.

6. Dziwak-emeryt.

Zwano go „Diodio“ na górnym Łyczakowie, gdzie mieszkał w domu pod l. 145. Odnajmywał tam pokój, który wiecznie szczelnie był zamknięty, ba, nawet okna w nim papierem były zalepione, aby przez nie nikt nie mógł zajrzeć do wnętrza. U siebie naturalnie nie przyjmował nigdy nikogo, a nawet jedzenie sam sobie u ogniska gospodyni grzał w jednym i tym samym garnuszku; nikt jednak nie mógł dojrzeć, co za potrawa się w tym garnuszku gotowała, bo go szczelnie przykrywał. Komorne płacił regularnie co pierwszego, ale czynił to bez najmniejszego słowa; rzucał gospodyni pieniądze na stół i szybko umykał.

Latem czy zimą chodził w jednej i tej samej szarej kapocie, z kołnierzem zawsze podniesionym i kapeluszem zsuniętym na oczy. Za przechodzącymi kobietami spluwał; widocznie one z niego kiedyś zrobiły mizantropa. Miał pasyę, idąc w miasto, zdzierania plakatów, które ukradkiem chował pod surdut i do palta i zanosił do domu.

„Diodio“ zmarł jakoś w samą Wielkanoc, a gdy po jego śmierci przemocą otworzono pokój, pokazało się, że izba po sam sufit natłoczona była starymi plakatami, a w tym strasznym nieporządku leżał trup „diodia“. Podczas sprzątania tych śmieci znaleziono wśród nich kilkadziesiąt tysięcy guldenów, które drogą spadku dostały się kuzynowi „Diodia“, właścicielowi piekarni, do dziś istniejącej.

7. Ałte sziker.

Postać charakterystyczna na Zarwanicy lwowskiej. Wysoki, chudy jak tyka, o typie czysto semickim, w chacie po pięty i szapoklaku, barwy zielonej od deszczu

i słońca. Zwano go alte sziker, co znaczy na polskie: stary pijak. Jakoż był i jednym i drugim, a z profesyi szewcem, łąającym buty nędzarzom takim, jakim sam był, ale tylko wtedy, gdy już nie miał co do gęby włożyć. Za to, gdy zarobił parę centów, a podpił sobie, brał się pod boki i wykonywał ucieszne skoki po ulicy, albo przed odwachem; stawał on tam frontem do krat i donośnym głosem wołał: „habt Acht!“. Tak się do tego z biegiem lat przyzwyczajono, że nawet policyanci, obojętni na figle „Alte szikera“, nie reagowali. Gdy mu dobrze dopiekli wyrostki żydowskie, drażnił ich tem, że on jest katolik, przy czem bluźnił rabinom i wogóle żydowskiej wierze.

Był niegdyś podobno i żonatym i właścicielem ładnej kamieniczki. Alkohol pozabawił go i żony i majątku, która ten ostatni jako swoją własność zatrzymała po napędzeniu męża pijaka. Zmarł gdzieś w szynku, jak wielu jego kompanów.

„Alte-sziker“, gdy wśród nocy swego pijaństwa jaśniejsze miewał chwile, posiadał pełną świadomość swego nieszczęścia, któremu za słaby był, aby zapobiedz. Bywało, siądzie sobie nieraz na kamieniu pod Wałami gubernatorskimi, podeprze dłońmi chudą twarz, łyska czaszką do słońca i zamyśli się, a okiem nieruchomo patrzy w dal. Nieraz w takiej zadumie zeszedł go jaki chłopak swawolny i nad uchem mu krzyknął: Alte sziker! Wtedy oblicze starego pijaka dziwny przybierało wyraz. Popatrzał na dziecko i na poły żartobliwym, a na poły rozpaczliwym głosem mawiał:

— Nu, za co lubciu alte, za co sziker, ja gorszy od pies, ja nie ma co jeść, ja nie ma gdzie spać...

Rychło wstawał potem, przybierał pozę wyzywającą, podpierał się pod boki i krocząc ku Zarwanicy wykrzykiwał: „Szlag na żydy, ja katolik!“, poczem znikał w ciemnych czeluściach ostatniorzędnej knajpy pijackiej przy ul. Błacharskiej, zwanej „pod Zweiundvierzig“ w gwarze ludowej.

8. Jaśko hułan.

Był postrachem przedmieścia: czyto trzeźwy, co mu się dość rzadko zdarzało, czy pijany, co bywało niemal stale, nie lubiał, by mu w drogę wchodzono. Nazywał się

— Bóg wie jak — dość, że od młodości zwano go popularnie: Jaśko hułan. Podobno o ułańskim jego pochodzeniu wiedziała matka i ludzie — ojca nie znał nigdy, ani go pamiętał. Majstrem był do wszystkiego, ale trzeba go było długo prosić, zanim zdecydował się komu czem usłużyć. Głównem jego zajęciem było robienie szopek przed świętami Bożego Narodzenia, a chodzenie z „wertepą“ od świąt do „Gromnicznej“. W tym okresie Jaśko hułan zmieniał się do niepoznania. Gromadził w około siebie chłopaków, od 6-letnich berbeciów aż do kilkunastoletnich wyrostków i zakładał u siebie istną fabrykę. Pod wprawnem okiem mistrza rosły w górę kilkuwieżowe gmachy z kolorowego papieru, tak do stajenki betleemskiej podobne, jak lwowski ratusz do arcydzieła architektury. Zdaje się, że na ratuszu tym wzorował Jaśko hułan gmachy swoje, bo „typem“ niejako jego szopek była czworokątna kominowa wieża z blankami u góry...

Typ ten „szopki“ odziedziczyli snąc po Jaśku i młodzi jego adepci papierowego budownictwa, bo tego rodzaju dziwolągi szopkowe do dziś dnia sprzedają na Rynku w okresie przedświątecznym.

Najwięcej uwagi i staranności poświęcił mistrz „wertepie“. Tem mianem ochrzczono na przedmieściu olbrzymią szopę ze sceną i kurtyną, na wzór sceny teatralnej, z mechaniczną podłogą, o mnóstwie korb i kółek, zapomocą których figurki można było poruszać, jak chciał „wertepiarz“. Figurki, zwyczajne lalki drewniane, kupowane pod katedrą, stroił Jaśko, jak mu było potrzeba do kompletnej sztuki jasetek własnego pomysłu; a dodać należy, że „grał“ za wszystkie figurki sam, bez „egzemplarza“ i suflera. Jedynie gdy musiał występować chór pasterzy, „robili“ go szopkarscy pomocnicy Jaśka, dostając za wieczór po dwa centy, niejako *feu* od przedstawienia.

Rozumie się, że w czasach, gdy o teatrze na przedmieściu ledwie coś niecoś słyszano, wertepa Jaśka hułana zastępowała w zupełności scenę, którą poczciwi przedmieszczanie znali chyba z nazwiska, gdzieby bowiem na myśl komu było przyszło iść do „tryjatur“; i kiedy wreszcie, gdy cały boży tydzień była praca, a w niedzielę popołudniu nieszpory u św. Antoniego, a wieczorem zabawa w Hotelu de

Laus, u Kijaka, albo u „Łysego Maćka“. Artystycznym tedy wymogom przedmieścia wystarczali zupełnie „kołędnicy“. Poza tem świąteczne dni Bożego Narodzenia po domach gospodarzy przedmieścia, a niedziele aż do „Gromnicznej“ po szynkach rozweselała wertepa Jaśka; po „Gromnicznej“ wertepa szła na strych domu, gdzie Jaśko mieszkał, a on sam wracał do dawnego trybu: włóczył się poza rogatkami, trochę się bawił w kłusownictwo po lesie, a zresztą żył jak-bądź.

Ale go się bano, i tej zapewne okoliczności zawdzięczał, że choć wszelkie chodzenia z „banią“, „gwiazdą“ i po kołędzie z kompanią najczęściej krwawą kończyły się bójką, gdy się dwie partye razem zeszły, wertepa Jaśka hułana długie lata cieszyła się nietykalnością. Łobuzy miejskie z pewnym pietyzmem odnosiły się do wertepy — może nie tyle do Jaśka, bo ostatecznie *viribus unitis* byliby go kiedy pokonali.

Lecz nie niema na świecie trwałego.

Trzeba było, że sławy Jaśkowi pozazdrościł podobny jemu wykołejeniec z innego przedmieścia, niejaki „Łysy Wojtek“. Ten zdobył się na wertepę, nie tyle sztuczną, co Jaśkowa, ale jeszcze większą i do niej jeszcze dopożyczył od żyda katarynkę, i jako konkurent niebezpieczny wkroczył na terytorjum dotąd niepodzielne Jaśka. Jeden dzień świąteczny minął spokojnie, ale na drugi Jaśka stąd i z owąd doszły słuchy, że Wojtek jako „nowość“ podobał się. To zdecydowało o jego losie...

W owe czasy t. z. „Baworówka“ pod cmentarzem Łyczakowskim była jednym olbrzymiem pustkowiem; biegnąca wzdłuż niej ulica św. Piotra ulicą prawie wiejską, żywopłotami oddzieloną od ogrodów i pól, ciągnących się aż ku Łyczakowskiemu piaskom i „dyabelskiemu młynowi“ i Cetnerówce, od której bokiem ku „Rurom“, względnie Pohulance, odskakiwała Mazurówka. Na tem olbrzymiem tedy pustkowiu, gdzie nie-liczne stały domki, zamieszkałe przez podejrzanę zresztą bardzo reputacyi indywidua, można było bezpiecznie toczyć krwawe boje, bez narażenia się na przeszkody ze strony władz bezpieczeństwa. I istotnie niktby nie policzył, ile heroicznych walk stoczono w tych miejscach, ile zasadzek i wypadków znienacka dokonano na wąziutkiej, przepaścistej ścieżce, którą wożono „goców“ ze szpitala na cmentarz,

a która dziś jest szeroką, uregulowaną ulicą, ochrzczoneą nazwą ulicy Pijarów.

Na tej tedy drożynie, wieczorem w dzień św. Szczepana, zasiadł Jaśko hułan ze swymi stronnikami i adeptami sztuki. Od Mazurówki wracał Wojtek ze swą kompanią. Na rogu „Baworówki“ starły się obie partye. Krew się połała, ale to furda. Wertepa ze sztucznym mechanizmem, która Jaśka lat parę pracy kosztowała, zniszczoną została do szczeru przez „wandalów“ Wojtka.

Nazajutrz w „dyabelskim młynie“ na łyczakowskich piaskach znaleziono na bance powieszzonego Jaśka na pasku od spodni...

Na tem kończę wiązanke szkiców z lwowskich przedmieść, w myśl założenia, że nie było moim zamiarem pisać szczegółowo dziejów przedmieść lwowskich. Monografię dzielnicy żydowskiej nakreślił po mistrzowsku zresztą na tem miejscu dr. Majer Balaban. Przedmieście Halickie nie doczeka się prawdopodobnie historyografa, będąc na zupełnie innych postawione warunkach względem miasta, jak przedmieście żydowskie.

Z zaginionych oryginałów nie brałem do tej galeryi osobników umysłowo upośledzonych, których dawne miasto dość, i to nawet dowcipnych niekiedy posiadało. Dałem tylko parę sylwetek istot, wykolejonych wprawdzie, pokłóconych ze społeczeństwem, wśród którego żyli — ale chodziło mi o zaznaczenie tragicznego pierwiastka duchowego, który to wykolejenie u nich spowodował. Każdy z nich mógł jednocześnie jednego roześmieszyć, drugiego zasmucić i łzę współczucia u niego wywołać na powieki. Biedni ludzie!

Nowoczesna cywilizacya i jej urządzenia oczyszczają bruki wielkich miast z rozmaitych oryginałów, czy też wykolejeńców. Przedstawiona przezemnie „galerya oryginałów“ zaginęła bez następców — na szczęście. Bogdaj, czy nie jedynym po niej śladem są owe sylwetki.



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Przedmieścia lwowskie w ogólności	7
II. Łyczaków wogóle	11
III. Górny Łyczaków przed pół wiekiem	17
IV. Bajki	40
V. Żółkiewskie	44
VI. Ogródki dawnego Lwowa	52
VII. Galerya zaginionych lwowskich oryginałów	57

KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



W 513399 F

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314416



000-314416-00-0

„BIBLIOTEKA LWOWSKA“.

1. Jaworski Franciszek: „Ratusz lwowski“ (z 21 rycinami). Cena 2 K.
2. Jaworski Franciszek: „Cmentarz gródecki we Lwowie“ (z 11 rycinami). Cena 2 K.
3. Dr. Pawłowski Bronisław: „Lwów w 1809 r.“ (z 20 rycinami). Cena 2 K.
4. Jaworski Franciszek: „Nobilitacya Lwowa“ (z 2 rycinami). Cena 2 K.
5. i 6. Dr. Balaban Majer: „Dzielnica żydowska, jej dzieje i zabytki“ (z 40 rycinami). Cena 3 K.
7. Dr. Abraham Władysław: „Początki arcybiskupstwa łacińskiego we Lwowie“ (z 11 ryc.). Cena 2 K.
8. Krajewski Adam: „Lwowskie przedmieścia“ (obrazki i szkice z przed pół wieku) (z 16 rycinami). Cena 2 K.

Pod prasą:

Dr. Czołowski Aleksander: „Wysoki Zamek“.

W przygotowaniu:

Jaworski Franciszek: „Lwów za Władysława Jagiełły“.
Dr. Piotrowski Józef: „Cech malarski we Lwowie“
(dzieje i zabytki).
Dr. Suszko Aleksander: „Ruskie drukarnie we Lwowie“.
